Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. *Niedziela, dnia 27 grudnia 1936 r.* Nr. 52

Niech cichy pokój wkrąg zagości...



W tę białą, cichą gwiazdkową noc,
Niech łzy nie płyną z oczu ludzi —
Niech wstąpi w serce radosna moc
I w lepsze jutro nadzieję zbudzi.

Wśród małych wiosek, wśród gwarnych miast.
Niech cichy pokój wkrąg zagości
I Bóg tysiącem złocistych gwiazd
Toń niebios w wilię nam wymości...

M. Z.

13)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Bez wytchnienia pracowali trzej mężczyźni, by nie dać łodzi utonąć...

Nakoniec, po ciężkich mozołach udało im się dostać do muru.

Był to już najwyższy czas, jeżeli mieli wogóle Hortensję ratować, bo mur nie byłby się dłużej oparł przemożnej sile żywiołu.

Jednym zręcznym skokiem dostał się Leon z łodzi na mur. Łódź oddaliła się, a on wspinał się na szczyt zamulonego muru.

W kilka chwil dostał się do Hortensji.

Z radosnym okrzykiem chwycił ją w objęcia i przez chwilę zapomnieli oboje kochankowie w tej nieszczęśliwej chwili o olbrzymim niebezpieczeństwie, jakie im groziło.

Dopiero ocknęli się, gdy podmyty mur począł się chwiać.

Leon uchwycił silnym ramieniem Hortensję i spuścił się z ukochaną z muru.

Zaledwie przy pomocy swoich dwóch wioślarzy dostał się do łodzi, runął mur, który jeszcze przed chwilą był jedyną podporą Hortensji.

Szczęście, że walące się gruzy nie przysypały i nie pogrzebały łodzi wraz z całym towarzystwem, które się w niej znajdowało.

Ale Bóg miłosierny wyratował ich z tego niebezpieczeństwa.

Na spienionej wysoko wodzie, chwiała się łódź, szczególnie gdy części muru w wodę runęły, ale nasi żeglarze uszli cało.

W pół omdlała siedziała Hortensja w łodzi.

Leon chwycił jakiś pień i pracował nim, jakby wiosłem.

Wszyscy trzej mężczyźni pracowali z największym wysiłkiem, byle się tylko do brzegu zbliżyć.

Nareszcie zwycięsko wyszli z walki z falami i wylądowali.

W chwili, gdy Hortensja nie obawiała się już niebezpieczeństwa, obudziła się w niej obawa o życie opiekunów i zwiększała się coraz bardziej.

— Gdzie jest Marcin i Adelajda? — wołała z dziką trwogą i boleścią.

Oni zginą, jeżeli im się natychmiast nie da pomocy. Miejcie litość nad nimi, nie dajcie zginąć nieszczęśliwym.

Uklękła na zmoczonej ziemi i błagała swoich wybawców o ratunek dla swych opiekunów.

Już decydował się Leon po raz drugi popłynąć tą chwiejną łodzią, gdy znowu z góry nadpłynęła nowa struga wody z niewymowną siłą.

Rozlała się na stajni górskiej zagrody, zsunęła się potem na dół i połączyła się z resztą wezbranej wody.

Tej sile budynek się już oprzeć nie mógł.

W gruzy rozsypała się jedna ściana, a przez ten otwór można było widzieć, jakie spustoszenie uczyniła woda wewnątrz domu.

Znajdująca się tam woda sięgała prawie powały i przez otwór, wyżłobiony w ścianie, wylewała się teraz na zewnątrz.

Z zewnątrz wciskały się nowe fale i wypłukiwały wszystko, co jeszcze wewnątrz domu zostało.

Białe jagniątko wypłynęło najpierw, a woda unosiła je coraz dalej takie zdrętwiałe i bez najmniejszego śladu życia.

Straszne przerażenie opanowało Hortensję na ten widok.

Zdrętwiała i z śmiertelną trwogą patrzyła na wodę, która coraz nowe zdrętwiałe ciała bydła z sobą przenosiła.

Ale co tam widać?

Dwie ludzkie postacie, złączone razem, płynęły po falach.

W uszach jej przebrzmiewa każdy głos.

Z okrzykiem przerażenia poznaje Hortensja swoich opiekunów.

Woda popycha bezwładne ich ciała.

Leon rzuca się w nurty wody. Płynie naprzeciw nich i z narażeniem własnego życia przyciąga ich ciała do brzegu, ale niestety. Przypłynęły tu tylko zwłoki, które on wydarł falom.

Te zdrętwiałe, martwe ciała opanowała śmierć.

Z załamanymi rękoma klękła Hortensja obok zwłok i całowała je.

Potem wstała nagle i nie zważając na stojących obok dwóch młodych ludzi, rzuca się, idąc za własnym popędem serca, na pierś Leona wołając boleśnie:

— Teraz tylko ty mi zostałeś.

Leon obejmując ją czule, przycisnął do swych piersi.

Hortensja popadła w omdlenie.

ROZDZIAŁ XLI.

W buduarze księżnej Iffalwi

Gorące i pełne żaru słońce wrześniowe, przygrzewało Wiedniowi, tej pięknej, cesarskiej rezydencji i jego okolicy.

Świat arystokratyczny nie wrócił był jeszcze do zimowych swych pałaców i will, lecz bawił się jeszcze w zbytkownych miejscach kąpielowych.

Wille, stojące na przedmieściach były jeszcze próżne, tylko rzadko kiedy widziało się w której z nich ślady chwilowego zamieszkania.

Tylko jedną z największych will, w Ober-Weidlingen, blisko Wiednia, widocznie nie opuścili wszyscy jej mieszkańcy.

Od czasu do czasu widziało się wychodzącą służbę z tego arystokratycznego domu. Ogrodnicy utrzymywali piękne ogrody w nienagannym porządku, a okna w jednym skrzydle były prawie ciągle otwarte, przez które dochodziły do ulicy dźwięki mistrzowskiej, ale smutnej gry na fortepianie.

Pałacyk, który tu widzisz, drogi czytelniku, jest własnością księcia Iffalwi, potomka jednego z najarystokratyczniejszych rodów węgierskich.

Pójdź ze mną przez wysłane kobiercami korytarze do wspaniałych komnat, a ujrzysz księżnę Iffalwi w jej własnym buduarze; w obecnej chwili jest ona sama, ze służbą tylko w domu.

Okna wspaniale urządzonej komnaty są otwarte szeroko, a przez nie wciska się balsamiczna woń róż.

W złoconej klatce poruszał się ptak w pstrem upierzeniu i wołał od czasu do czasu ochrypłym głosem:

— Irmgard, Irmgard!

Smukły chart przybliżył się, kiwając ogonem do kanapy, na której siedziała wspaniała postać kobieca. Pies lizał przejrzystą i białą jej rękę, zwieszoną niedbale. Pogłaskała ona swą piękną ręką, jak atlas miękką, sierść wiernego zwierzęcia, ale niebieskie oczy księżnej nie spoczęły na przymilającym się



Maleńka, jasnowłosa pociecha mamusi, z uśmiechem pomaga jej w pracach przy gospodarstwie domowym.

Szczerej i beztroskiej radości w święta

Bożego Narodzenia

i dużo szczęścia w Nowym Roku życzy swoim Czytelnikom i Sympatykom.

Redakcja „Moich Powieści"



Zdjęcie nasze przedstawia nowego króla Anglii Jerzego VI w otoczeniu żony i córek. Na lewo księżniczka Elżbieta, następczyni tronu.

psie, ale z wyrazem tęsknoty i rozmarzenia, spoglądały gdzieś w dal.

Chociaż nie była ona pierwszej młodości, bo liczyła około 35 lat, była jeszcze księżna Irmgarda Iffalwi bardzo piękną kobietą.

Postać jej była bardzo smukła i proporcjonalna. Jej bujne włosy błyszczały jak złoto, cera jej była biała jak lilia, a rysy zbliżone były do posągu jakiejś bogini greckiej.

A przecież około tych pięknych ust był wyraz, jakby wielkiego bólu, a te piękne, niebieskie oczy miały wyraz głębokiego smutku, jakby w ukryciu gorzkie łzy wylewały, a piękne jej ręce musiały nie raz spoczywać na silnie bijącym sercu.

Przytłumiony kaszel obudził księżnę Irmgardę z zadumania.

Zaledwie ujrzała postać służącego, w wyprostowanej postaci, przed nią stojącego, przybrały jej piękne, rozmarzone oczy wyraz bezgranicznej dumy.

Jaśnie oświecona księżno pani — zameldował lokaj — pan rządca prosi o zaszczyt zobaczenia jaśnie oświeconą księżnę panią.

— Nie przyjmuję dziś — odparła księżna.

— Pan rządca utrzymuje, że ma o bardzo ważnych sprawach z jaśnie oświeconą księżną panią mówić — dodał służący pokornie.

— A więc niech wejdzie — rozkazała piękna pani gniewnie.

Lokaj oddalił się cichymi krokami.

Po kilku chwilach otworzyły się drzwi, a do pokoju wszedł siwy mężczyzna, którego zachowanie się, zdradzało człowieka, dobrze wychowanego.

Był to rządca rozległych dóbr księcia Iffalwi, człowiek, który swą wiernością i sumiennością utrzymywał cały majątek księcia.

— Wymusiłeś pan, porozumienie się ze mną! — zagadnęła księżna dumnie, nie odpowiadając wcale na jego pełen szacunku ukłon.

— Proszę się krótko sprawić panie Gedölli, czego sobie pan życzy?

Nie poleciła mu usiąć, tylko sama stojąc wysłuchała jego sprawozdania.

— Jaśnie pani — począł Gedölli skromnie — bardzo mi na tym zależy, by dowiedzieć się, jaki jest do księcia adres. Hrabia Elbenii oświadczył gotowość kupienia dóbr Telesbar i to pod bardzo korzystnymi warunkami. Przez tę sprzedaż polepszyłyby się znacznie stosunki księcia. Ale ja nie mam upoważnienia sprzedawania tych dóbr i dlatego chciałbym się upewnić, czy się książę pan zgodzi na to.

Rządca milczał i patrzył pytającymi wzrokiem na księżnę, jak gdyby wyczekiwał odpowiedzi. ale i księżna milczała.

— Czy mógłbym jaśnie panią prosić o adres księcia — zapytał rządca jeszcze raz.

— Kiedyż miał pan wiadomości od księcia — pytała piękna księżna.

— Jaśnie pan telegrafował mi przed czterema tygodniami z Monaco — mówił rządca.

Ile wynosiła suma, którą sobie książę przysłać kazał — badała księżna Irmgard z szyderczym uśmiechem.

— Dwieście pięćdziesiąt guldenów — objaśnił Gedölli.

— Nie więcej? — rzekła księżna. — Wobec tego pewnie zwróci się mój małżonek znowu wkrótce do pana i dowiesz się pan tym sposobem, gdzie przebywa. Może książę jest jeszcze w Monaco?

— Telegrafowałem tam — odrzekł rządca — telegram wrócił do mnie.

— W takim razie nic innego nie wypada panu czynić, jak czekać cierpliwie, bo i ja nie wiem, gdzie teraz mój małżonek przebywa — odrzekła księżna niecierpliwie i dumnym ruchem ręki dała Gedöllemu znak, że może odejść.

Gdy rządca opuścił buduar, znikł wnet z twarzy księżnej wyraz dumy i wyniosłości.

Wstała i szybkim krokiem przechadzała się po pokoju, wysłanym miękkimi kobiercami.

Chart towarzyszył jej wiernie, papuga wołała swoim ochrypłym głosem: Irmgarde, Irmgarde!

Księżna jednak nie zważała ani na psa, ani na papugę. W tej chwili myślała o rozmowie, którą dopiero co skończyła.

Dumna kobieta uważała to dla siebie za wielkie upokorzenie, że wobec swego poddanego musiała się przyznać, iż nie wie, gdzie książę przebywa.

Od kilku miesięcy, to jest od wyjazdu księcia Iffalwi z Wiednia, jeszcze na wiosnę, miała teraz pierwszą wiadomość o księciu i to nie wprost od niego, tylko za pośrednictwem rządcy.

To, co się o nim dowiedziała, wcale nie przyczyniło się do tego, aby jej upokorzenie złagodziło.

Jej małżonek bawił bowiem w Monaco, gdzie przegrywał bajeczne sumy pieniędzy i dlatego myślał o tym, aby znowu, którąś ze swoich posiadłości sprzedać.

Tak trwonił książę majątek swój i żony.

Cóż za los czekał tę zepsutą damę światową, gdy mąż jej kiedyś oczy zamknie, a majątek bezdzietnego księcia przypadnie jakiejś odległej linii jego rodziny?

Śmiertelna trwoga malowała się na tę myśl w pięknych rysach księżny.

Już zdawało jej się, że jest zubożała i otoczona biedą i nędzą, a znajdowała się przecież jeszcze w stosunkach, w których otaczał ją zbytek i przepych.

Ponowne wejście lokaja wyrwało ją z tych nieprzyjemnych myśli.

Na srebrnym talerzu przyniósł swej pani bilet wizytowy ze złotymi brzegami. Księżna wzięła go i czytała: Ba-



Tradycyjną walką w Japonii jest tak zw. dżiu-dżitsu. Na ilustracji nauka dżiu-dżitsu pod okiem nauczyciela. Zasadniczych cech tej walki uczą się w Japonii tak starsi, jak i młodzież szkolna.

ronowa Lola von Wimpfen z hrabiów Haydan.

Wyraz niezadowolenia widniał na jej zmęczonej twarzy, ale przecież opanowała się i powiedziała zupełnie obojętnie:

— Proszę poprosić.

Pobieżne spojrzenie do lustra przekonało ją, że kosztowna jej toaleta jest w najzupełniejszym porządku.

Twarz jej przybrała znowu wyraz dumy.

Jej imponująca postawa odbijała znacznie od małej zgrabnej postaci osóbki, która lekkim krokiem do buduaru weszła.

— Baronowa Wimpfen, prześliczna brunetka, była ubrana dość wyzywająco, wedle najnowszej mody.

Wszedłszy do buduaru rozwarła ramiona i obejmując księżnę zawołała z wylaniem:

— O, jakżeż się cieszę kochana Irmgardo, że cię mogę widzieć!

Księżna Iffalwi przyjęła chłodno te czułości.

Obie panie usiadły na kanapie a księżna zagadnęła:

— Jest to dla mnie niespodzianką, że widzę cię we Wiedniu, myślałam, że przebywasz w Szwajcarji.

— Byłam też kilka tygodni tam — odrzekła baronowa Wimpfen — ale te odwieczne piękności natury tak mię wkońcu znudziły, że jednego pięknego dnia uciekłam. Dla odświeżenia i rozweselenia się, udałam się do Monte Carlo.

— Tam jest właśnie ktoś, który ci jest szczególnie bliskim — zawołała baronowa, śmiejąc się prawie dziecinnie i naiwnie, ale z oczu jej błyskał wyraz nienawiści dla Irmgardy i zadawał kłam jej usiłowanej naiwności. — O, proszę cię Irmgardo, zgadnij, jego imię zaczyna się na B.!

Jeżeli myślisz o Beli, moim małżonku, to nie mówisz mi nic nowego — odrzekła Irmgarda — wiem, że Bela bawił się w Monte Carlo!

Baronowa spojrzała na księżnę swojemi ciemnymi oczyma trochę zdziwiona.

— O, jakżem niemądra — zawołała Lola von Wimpfen — powinnam to przecież była przypuszczać, ale chęć powiedzenia ci czegoś przyjemnego, była przyczyną do głupoty. Książę Bela był tak uprzejmy i zajmujący i przeżyliśmy kilka idealnych dni, a brakowało mu tylko ciebie!

Powiedziawszy te słowa, spojrzała na księżnę badawczym wzrokiem. Ale ta, nie okazała najmniejszego niezadowolenia i z wielkim spokojem odrzekła:

— Wiesz przecież, że podróżowanie szkodzi mi i dlatego wolałam tego lata siedzieć spokojnie w Weidlingen.

— Dlaczegoż nie udałeś się przynajmniej do któregokolwiek z waszych dóbr? — pytała natarczywie baronowa Wimpfen.

— W moich dobrach panuje tyfus — odrzekła na pytanie księżna — a wszystkie posiadłości Beli są we Węgrzech, a wiesz, że się tamtymi okolicami i zwyczajami, wcale nie zachwycam.

— Wybrałaś sobie przecież Węgra na męża — dodała baronowa złośliwie.

— Bela jest przedewszystkiem światowym człowiekiem, u niego narodowość jest prawie zatarta — broniła się księżna.

Baronowa wiedziała, że najlepiej byłoby, nie tykać więcej tego tematu i zwróciła się do księżnej z tymi słowami:

— Prawdziwie nie pojmuję cię, jak możesz w takiej samotności żyć! Ja przyjechałam tylko na kilka godzin do Wiednia, aby sobie kilka nowych sukien sprawić, bo już nie miałam co włożyć na siebie.

(Baronowa zapomniała widocznie o ośmiu kufrach z sukniami, które ze sobą w podróży woziła).

Skoro się uporam z sukniami, pojadę do Biarritz. Wyobraź sobie, że książę Bela przyrzekł także przyjechać do Biarritz. On jest bardzo uprzejmy i miły.

Ukradkiem spojrzała znowu na swoją piękną sąsiadkę, lecz żaden cień nie malował się na jej twarzy, któryby okazał wrażenie, jakie uczyniły na niej słowa jej podstępnej przyjaciółki.

Gdy baronowa nie dostała na tę wiadomość żadnej odpowiedzi, pokazała księżnie swoją kosztowną bransoletę, ozdobioną brylantami i zapytała: Podoba ci się?

— Bardzo jest piękna — pochwaliła księżna, rzucając na bransoletę przelotne spojrzenie.

— Wiedziałam, że ci się podoba — mówiła triumfująco Lola von Wimpfen — czy wiesz, kto ją wybrał? Twój małżonek.

Książę Bela grał ze mną w Vielliebchen, przegrał; zapomniałabym już była dawno o tym, i przed kilkoma dniami dostałam z Nizzy, w dzień swoich urodzin, wspaniały bukiet właśnie z tą bransoletą.

O, niema elegantszego mężczyzny pod słońcem od księcia Beli Iffalvi, on jest pod tym względem pierwszym w Europie.

Ja myślę, że Bela wypełnia tylko swoje obowiązki towarzyskie — odrzekła księżna spokojnie.

— O, nie — twierdziła baronowa — on ma tyle wyszukanej galanterii i uprzejmości serdecznej. Co to za miły sposób, że on właśnie na moje urodziny ten podarek przysłał, a do tego tak mi serdeczne życzenia złożył! Prawda, że i twoje urodziny były niedawno, czemże obdarzył cię twój małżonek?

— Tak mój małżonek jak i ja już od dawna nic nie pamiętamy o swoich urodzinach, nie przypisujemy temu żadnego znaczenia! — odrzekła Irmgarde Iffalvi wymijająco.

— O, jak to rozumnie — wołała baronowa zdziwiona, starając się mówić naiwnie. — Swoją drogą, że ja obchodziłabym chętnie pięć albo sześć razy do roku urodziny. Zawsze staram się też o to, aby moi wielbiciele dokładnie znali datę moich urodzin.

— To też jest widoczne — miała już księżna powiedzieć, ale powstrzymała się od wypowiedzenia tej uwagi.

— O, mój Boże, jak późno — zawołała baronowa, patrząc na zegar stojący na gzymsie kominka. Już najwyższy czas, abym poszła, tylko jeszcze jedno muszę ci powiedzieć za nim pójdę. Wyobraź sobie, że widziałam w Genewie brata twego męża, księcia Aleksandra Iffalwi. Co to za nieprzyjemny człowiek.

Rudy, ciągle zakatarzony, jednym słowem okropny, był dla wszystkich przedmiotem dowcipu. Jak przykrą musi być wam obojgu myśl, że na tego brzydkiego i nieśmiałego człowieka spadnie kiedyś cały wasz majątek. Co za szkoda, że sami nie macie spadkobiercy tak pięknej fortuny.

Temi słowami wsączyła piękna żmijka ostatnie krople jadu, jaki umiała z siebie wydobyć i pożegnała się czule z księżną, którą tak zmartwiła w czasie swej krótkiej wizyty. Ucałowała ją serdecznie i zapewniała, że tylko dlatego cieszy się ze swego pobytu zimowego we Wiedniu, że będzie mógła swoją, kochaną księżnę Irmgardę częściej

widywać. Jeszcze na progu obejrzała się i spytała się, czy księżna nie ma jakiego zlecenia dla księcia Beli.

— Dziękuję — odrzekła księżna spokojnie — jeśli mam co donieść mężowi, to się najchętniej wprost do niego odnoszę.

Gdy baronowa odeszła, nie mogła Irmgarda przez chwilę pokonać wielkiego uczucia pogardy, jakie żywiła do niej.

Po chwili odmalowała się na jej dumnej twarzy boleść. Milcząc załamała ręce, a przybliżeniem ręki uspakajała niespokojnie bijące serce.

Zimna i dumna kobieta, którą małżonek tak zaniedbywał ukrywała pod swą lodowatą powierzchownością namiętne, gorące serce.

Namiętnie kochała swego pięknego, rycerskiego małżonka, który jej się odwdzięczał tylko zaniedbywaniem i zapomnieniem.

Dla takiej baronowej Wimpfen, zaniedbywał swoją żonę, dla tej próżnej i głupiej kobiety miał czas i dla niej był uprzejmy i rycerski, a kochające serce swej żony deptał nogami.

Irmgarda martwiła się bardzo i to tym więcej, że widziała w tym cierpieniu karę, zasłużoną za winę popełnioną.

Biedna kobieta nie długo mogła się oddawać swej boleści, bo wchodzący służący zaanonsował, że obiad na stole.

Księżna wstała i szła zmęczona przez długi szereg wspaniale urządzonych pokoi do sali jadalnej, urządzonej w stylu staroniemieckim.

Duży, pięknie rzeźbiony, dębowy stół nie był nakryty, tylko mały stolik, stojący w wystającym skrzydle pokoju.

Dwóch lokai w kosztownej liberii księżny Iffalwi stało za krzesłem swej pani a podczaszy stał przy bufecie, czekając na rozkazy swej pani.

Cały ten przepych wcale nie był dla niej pociechą w jej samotności.

W tym opuszczonym domu słychać było tylko głuche kroki służby. Śmiechu, ani wesołej rozmowy nie było tam słychać, bo księżna była sama.

Księżnie podawano jedną potrawę za drugą, których prawie nie tykała.

Kielichy były napełnione najlepszym winem, w którym ona zaledwie usta swe zamaczała, a gdy jej lokaj nakoniec podał deser i przyniósł owoce, księżna jednak dała mu niecierpliwym ruchem ręki znak, że nie chce tego i podniósłszy się z miejsca, opuściła pokój.

Lokaj odniósł owoce, leżące na pięknym, srebrnym talerzu, do kredensu.

Jeden ze służących otworzył księżnie drzwi, a gdy je potem zamknął, zwrócił się z wymowną miną do swych towarzyszy i wykonawszy dużym palcem ruch, jak gdyby wskazywał na księżnę, rzekł:

— No, ta jest dzisiaj w dobrym humorze. Tak na nikogo nie patrzy, jakby się było powietrzem i taką ma jakąś minę, jakby najchętniej wszystkich ludzi stracić chciała.

— Ależ ona dumna niesłychanie — mówił drugi służący — ale nie chciałbym być w jej skórze mimo jej majątku. Zanudziłbym się na śmierć, gdybym tak całe lato przesiedział sam jak palec, bez żadnej przyjemności i rozrywki.

Pomyśl sobie, jakeśmy często wieczorem do Wiednia jeździli, aby trochę potańczyć, albo pójść do teatru. Bez takiej odmiany byłbym już dawno zwariował w tym nędznem gnieździe Wildlingen.

Podczas gdy obaj lokaje tak filozofowali, doszła księżna do swego buduaru.

Widocznie zajmowała ją jakaś myśl, którą też natychmiast wykonać chciała.

Zaryglowała tedy starannie wszystkie drzwi, aby nikt niepożądany nie wszedł, otworzyła szufladę swego kosztownego biurka, wykonanego z drzewa różanego i powyjmowała z tejże wszystkie listy i papiery. Gdy szufladę wypróżniła, nacisnęła ledwie dostrzegalny guzik na dnie tejże. Dno rozdzieliło się na dwie części, które podniosły się do góry i ukazał się tajemny schowek płytki, dość szeroki.

Z wyrazem nieopisanego wzruszenia w pięknej twarzy, wyjęła księżna pożółkły papier, w którym znajdował się czepek dziecinny, kosztowny ale staromodny i lok miękkich, jasnozłotych włosów.

Księżna przypatrywała się tym relikwiom z wielkim smutkiem. Łzy płynęły z jej niebieskich oczu i zwilżały czepek.

Niewymowna boleść dręczyła księżnę, w rozpaczy załamywała swe ręce; widmo przeszłości wyszło z grobu i napełniało ją skruchą, a zarazem śmiertelną obawą.

ROZDZIAŁ XLII.

Samolubna miłość

Proroctwo Ireny zainteresowało bardzo Ilonę. Posiadała nadzwyczajną bystrość i niezwykły dar kombinacyjny.

Widziała ona już dwa razy barona w zamku Felseg. Cóżby go tam sprowadzało? Pewnie chce swemu wspólnikowi podać różne wskazówki ostrożności — odpowiedziała sobie Ilona. — Alojzy potrzebuje teraz dwa razy tyle środków żywności niż przed tym, widać więc z tego, że teraz jest jeszcze ktoś w zamku, a tym nie może być kto inny, tylko hrabia Werner!

Na tę myśl poruszyła się jej szybciej krew ku sercu. Gdyby tak odkryła więzienie hrabiego, toby go już potem łatwo z niego uwolniła, ale ona żądała wysoką nagrodę za jego wolność. Młody hrabia miał jej za to dać swoje serce i swoją rękę.

Teraz, albo nigdy więcej w życiu nie nadarzy się jej sposobność spełnienia jej najgorętszego życzenia.

Czarna cyganka już dawno kochała okazałego i dobrego hrabiego Wernera, ale nigdy nie myślała, aby mogła dopiąć tego, by się do niego zbliżyć, ale teraz mogła swój cel osięgnąć który był dla niej przed tym nie do osiągnięcia.

Już przed tym unikała Ilona stosunków z młodymi cyganami, teraz była jeszcze dumniejszą i mniej przystępną wobec nich, ale zato wyszczególniała swemi względami Alojzego.

Prawie codziennie przychodziła do zamku.

Często zastawała ciężkie drzwi zamknięte i dopiero po długim stukaniu i pukaniu otwierał je Alojzy. Na jej pytanie, dlaczego się prędzej nie zjawił, miał kasztelan zawsze wymijającą odpowiedź. Równie zręcznie wykręcał się on, ile razy go cyganka o hrabiego Wernera zapytywała.

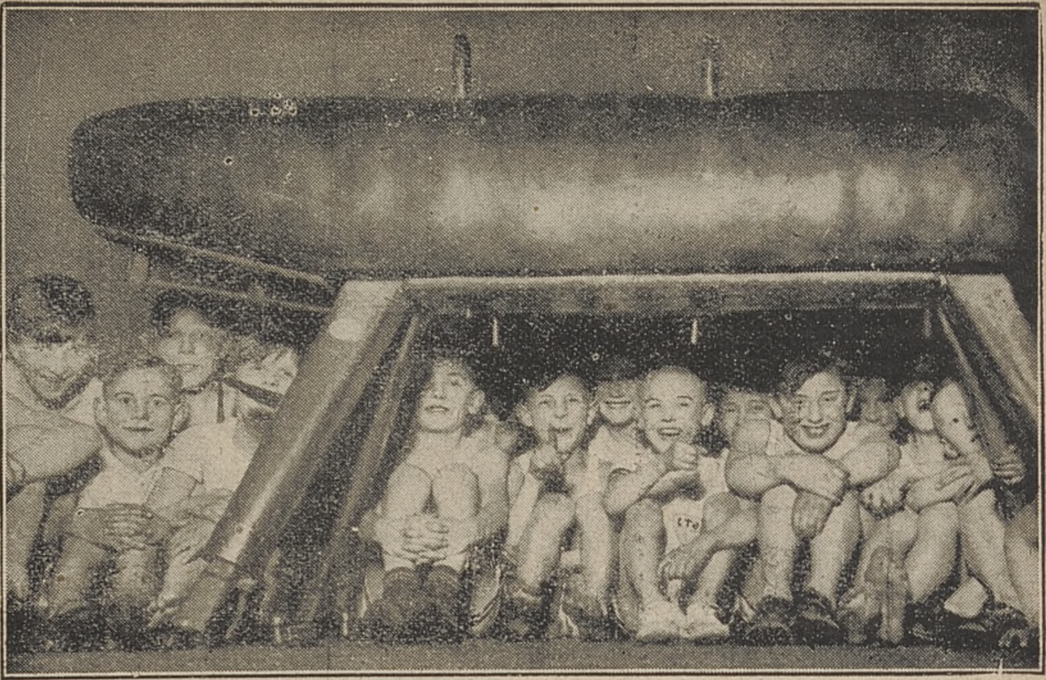
Ilekroć starała się Ilona wydobyć z niego jakie nieostrożne wyznanie chytrymi pytaniami, zawsze wyślizgiwał się jak węgorz z tej sytuacji.

Ilona widziała, że pytaniami do niczego nie doprowadzi i postanowiła teraz działać.

Jednego razu wśliznęła się do obszernej kuchni i ukryła się tam w niszy.

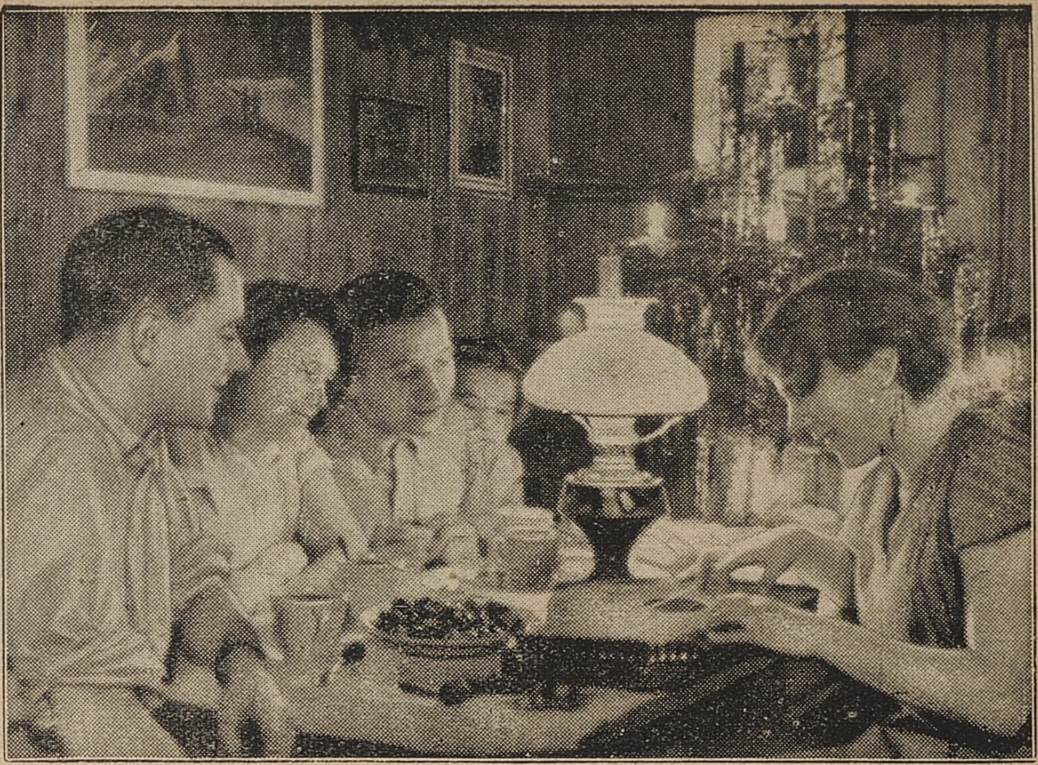
Cierpliwie czekała kilka godzin.

Nakoniec około północy zjawił się Alojzy w kuchni, zapalił ogień, ugotował kilka pięknych pstrągów, sporządził kawę, ukroił chleba, ułożył to po-



Z nowym zapałem zabrała się młodzież, w okresie zimowych miesięcy do gimnastyki w salach gimnastycznych. Oto roześmiane twarze chłopców — patrzące z zadowoleniem, że lekcja udała się.

tym na tacy i wyszedł z tym z kuchni.
Cyganka przycisnęła rękę do gwałtownie bijącego serca.
— On idzie z tym do swego więźnia — pomyślała.
Bez szmeru wysunęła się ze swej kryjówki, aby pójść za Alojzym, ale ku swemu wielkiemu niezadowoleniu usłyszała jak zamknął drzwi starym, zardzewiałym kluczem.
— On zamknął mię — pomyślała, zgrzytając zębami ze złości.
Zobaczyć nie mógł mnie, bo inaczej nie byłby tych przygotowań robił w mojej obecności. Dobrze, dziś on mię przeszedł w chytrości, jutro zaś ja będę chytrzejszą od niego.
Z tym postanowieniem otworzyła okno i wdrapała się. Przyciągnęła potym okno z zewnątrz, a ponieważ nie było najmniejszego wiatru, więc okno zostało przymknięte i Alojzy dlatego nawet nie spostrzegł, że okno nie było zamknięte.
Następnego dnia wsunęła się Ilona do zamku. Otworzyła okiennicę jednego z pokojów, wdrapała się na okno, otworzyła i potem przymknęła znowu okiennice lekko, a następnie schowała się.
Z niecierpliwością oczekiwała zbliżenia się nocy.
Zaledwie się ściemniło, zbliżyła się do owej przymkniętej okiennicy, ale wydała okrzyk złości.
Gdyby był Alojzy w pobliżu, byłaby mu cyganka jak kot wskoczyła na szyję i dała dotykalny dowód swej złości, ale Alojzy siedział sobie spokojnie w kuchni i smażył kurczątku dla swego więźnia.
Wściekła była Ilona, z gniewu wpijała paznokcie w swe ciało aż pokąd krew nie wystąpiła, potem usiadła na kamieniu, zakryła twarz pstrym fartuszkiem i dzikie jej jęki wyrywały się z jej piersi. Jej smukła, giętka postać chwiała się przy tym jak brzoza poruszana wichrem.
Nakoniec uspokoiła się trochę, wstała i małą swą pięścią groziła w stronę, w której znajdował się Alojzy i szepnęła:
— Poczekaj, ty mi nie ujdziesz!
Alojzy, który się już był przyzwyczaił do codziennych odwiedzin pięknej cyganki, oczekiwał jej następnego dnia daremnie.
Dopiero wieczorem usłyszał w ogrodzie jej miękki i melodyjny śpiew.
Spiesznie udał się kasztelan do ogrodu; zastał Ilonę przy jabłoni zrywającą półdojrzałe jabłka do swego fartuszka.
— Po co ci te kwaśne jabłka? — zawołał. — Jeżeli chcesz owoców to strząsnę ci z tamtej starej gruszy dobre gruszki, jeżeli mi dasz całusa!
— Nie potrzebuję twoich gruszek i nie dam ci całusa, odrzekła Ilona z szelmowskim uśmiechem.
— No, zobaczymy — zawołał i przyskoczył do niej.
Z uśmiechem poczęła uciekać i rzuciła za nim zielone jabłko.
— Oho, co to znaczy — spytał Alojzy. — Za to odpokutujesz zuchwała dziewczyno.



Wigilijny wieczór w schronisku narciarzy...

Jak mię chwycisz, to będziesz mię miał — mówiła dalej śmiejąc się.
Teraz rozpoczęła się wesoła gonitwa przez ogród; Ilona biegła naprzód zwinnie jak sarna, Alojzy dążył za nią szerokimi skokami.
Od czasu do czasu odwracała się dziewczyna i rzucała ku Alojzemu niedojrzałe owoce. Celowała nadzwyczaj zręcznie, za każdym razem trafiała kasztelana tak, że uczuwał wielki ból.
Alojzy nie gniewał się za ten przykry żart. Ten ponury człowiek dawał się dziwnie kierować tej czarnej cygance.
Ilona opuściła już ogród i zbliżała się w szybkim biegu do zamku. Od czasu do czasu przystawała, aby odetchnąć głęboko, potem znowu naprzód biegła.
Teraz już przybliżyła się do zamku, Alojzy zaś już ją dopędzał. Ilona jednak odwróciła się z szybkością błyskawicy i rzuciła mu znowu garść niedojrzałych owoców. Ale o ile zręczną była przedtem o tyle nie udało jej się teraz, gdyż trafiła nie w Alojzego, tylko w jedno z okien zamkowych tak, że szyby z brzękiem z niego wyleciały.
Cyganka przestraszyła się śmiertelnie tego niezgrabnego rzutu; lewa jej ręka, która trzymała koniec fartuszka, opadła bezwładnie i ostatek owoców wysypał się w piasek, a ona zawołała z trwogą:
— O, biada mi, co też uczyniłam! — I z tym okrzykiem zbiegła z góry.
Kasztelan zaklął na widok tej szkody, po tem przyniósł ze składu kilka desek, gwoździ i młot i w ten sposób zakrył otwór powstały skutkiem wybicia szyb. Dla bezpieczeństwa przybił on jeszcze od wnętrza żelazną sztabę.
— Lepiej naprawić niż narzekać — zawołał — ale ta Ilona zanadto często wspomina hrabiego Wernera Wildensteina.
Gdy się ściemniło udała się Ilona znowu niespostrzeżenie do zamku.
Gdy zobaczyła, że Alojzy okno zabił deskami, pozieleniała ze złości, oczy jej ciskały błyskawice, a usta jej wyrzekły jakieś cygańskie przekleństwo.
— Jego nadzwyczajna ostrożność jest najlepszym dowodem, że on hrabiego więzi — mruknęła do siebie. — Gdyby nie musiał ukrywać jakiejś wielkiej tajemnicy, nie byłby z pewnością tak bardzo ostrożny i nie strzegłby tak starannie przystępu do zamku. Tylko cierpliwości. Cierpliwość daje złoto.
Tego wieczora nie oddalała się Ilona od bandy cygańskiej.
Tańczyła z młodymi cyganami, rozmawiała i żartowała z dziewczętami. Potem usiadła przy ogniu, przy którym grzała się wiecznie zziębnięta Tara.
— Matko Taro, czy dorzucić więcej drzewa? — spytała Ilona uprzejmie.
— Dobrze, dziecko, dorzuć drzewa — odparła Tara. — Wprawdzie krew moja tak pomału krąży, że jej już ani żar ognia, ani ciepło futra nie ogrzeją, ale i płomień ognia jest dla starych oczu przyjemnym widokiem. W jasnych językach płomienia widzi Tara obrazy minionej przeszłości.
Ilona dorzuciła znowu wiązkę suchych gałęzi, które z trzaskiem poczęły płonąć, strzelając ku górze jasnym płomieniem.
— To jest moja księga z obrazami — mówiła Tara zacierając ręce z zadowolenia — moja piękna i bogata księga, z której odczytuję przyszłość.
— Ile masz lat, Taro? — pytała Ilona.
— O, jestem bardzo starą, tak starą, że już sama nie mogę się ich doliczyć — odparła staruszka — widzisz, żem tak stara, że i w największe upały letnie ziębnę.
Ilona wyciągnęła z kieszeni flaszkę.
— Pij! — zawołała uprzejmie. — Jest to stare południowe wino, a napój ten jest bardzo zbawienny dla takich starych jak ty.
Stara Tara przytuliła flaszkę do ust i piła bardzo powoli.
— Ach, jakież to dobre, jak to dobrze na mnie działa — mówiła Tara, a jej

czarne, błyszczące oczy nabrały ognia.

— Ale teraz powiedz, czego chcesz ode mnie? — dodała, gdyż przypuszczała całkiem słusznie, że Ilona nie z miłości ku niej, była dla niej tak uprzejma.

— Matko Taro, użycz mi na jedną noc swej mądrości — rzekła z pochlebstwem Ilona. — Daj mi tego proszku, który odurza na krótki czas i przysłania umysł gęstą zasłoną, a człowiekowi tylko tyle przytomności zostawia, że machinalnie swoim dziennym obowiązkom podołać może.

— Ja mam tylko bardzo małą ilość tego proszku — odrzekła stara z wahaniem. — Patrz Ilono, oczy moje nie zobaczą już więcej Indii, znużone me członki nie zanurzą się więcej w świętej wodzie Gangesu, nie będę więc miała sposobności sporządzić sobie nowego zapasu proszku. Cóż dasz mi, jeżeli mimo to wszystko oddam ci to co mam?

Prędkim ruchem wysunęła Ilona ze swoich splotów kilka dukatów, które miała we włosy wplecione.

— Weź to! — powiedziała gorączkowo. — To cały mój majątek. Gdybym miała więcej, dałabym ci chętnie.

Stara Tara wsunęła monetę chciwie do swego woreczka, który zawieszała na piersi. Jej bystre, błyszczące oczy zwróciły się badawczo na Ilonę.

— Jestem za stara, abym była ciekawą — mówiła ochrypłym głosem. — Nie chodzi mi o to, aby wybadać twe tajemnice, Ilono. Zważ tylko, abyś nie wykroczyła w niczem przeciw naszym przepisom. Nie zapominaj jakiej karze podlega cyganka, która się waży pokochać katolika.

— O tym nie zapomnę! — zapewniała Ilona, ale w oczach jej malował się złośliwy wyraz.

— Daj mi teraz proszek — powiedziała do starej.

Z trudem podniosła się Tara i poszła kulejąc do swego namiotu. Tam zaczęła coś szukać w skrzynce pomalowanej różnymi znakami.

Z pomiędzy różnych pstrych chustek, wstążek i koców wyciągnęła woreczek jedwabny. Musiał on długie, długie lata tam leżeć, bo niegdyś lśniąco biały jedwab całkiem pożółkł i zaczynał się już psuć. Stara otworzyła woreczek i pokazała go Ilonie; bladoróżowy proszek o delikatnym ale odurzającym zapachu ukazał się oczom Ilony.

— Czy to jest ten proszek — zapytała dziewczyna rozczarowana. — Ja go sobie całkiem inaczej wyobrażałam! Czyż taki niepokaźny proszek ma posiadać tak niezwykłą siłę?

— Możesz się naocznie przekonać o prawdziwości moich słów — odrzekła Tara trochę obrażona.

— Czy sądzisz tylko z pozoru, Ilono? Jak skromne pióra ma słowik, a przecież jak pięknie śpiewa, podczas gdy barwny paw wydaje tylko nieprzyjemny głos.

— Już dobrze, dobrze — odrzekła Ilona niecierpliwie. Wsunęła woreczek pod koszulę na piersi i odeszła nie pożegnawszy się wcale.

Zgrzybiała Tara patrzała za nią ze ściągniętymi brwiami.



Długie granie męczy małą, amerykańską gwiazdeczkę filmową Shirley Temple, dlatego w pewnych wypadkach zastępuje ją Mary Jon Islieb, którą widzimy na zdjęciu (na lewo) w towarzystwie słynnej Shirley Temple.

— Zdaje mi się, że Ilona liczy na hrabiego Wernera, ale inne wyroki czytam w gwiazdach.

Młoda cyganka poszła do swego namiotu, w którym mieszkała razem ze swoim dziadkiem, silnym Markiem.

Na wiązkach siana, była tam rozpostarta kapa. To było łoże Ilony. Z westchnieniem rzuciła się na nie i zaczęła w myślach plany swe układać.

— Tym razem musi mi się udać — mruczała i zanim przymrużyła oczy do snu, błagała Boga Wisznu, obrońcę wszystkich istot, aby i ją otoczył opieką.

W czasie nocy trapiły ją przykre sny. Obudziła się też później niż zawsze, z rozpalonym czołem i błyszczącymi oczyma.

Wykąpała się w czystej wodzie górskiego źródła, a kąpiel ta zmniejszyła gorączkę, która ją pożerała.

Jeszcze powolniej niż zawsze wykonała kilka robót, które do niej należały.

Przy śniadaniu dotknęła się zaledwie potraw, ale za to czerpała ciągle wody ze źródła, aby pragnienie ugasić.

Około wieczora ubrała się w swój najwspanialszy strój, który się składał z czerwonego sukiennego gorsetu, ozdobionego złotym sznurkiem, z krótkiej spódnicy, uszytej z złocistej, brokatowej materii, którą odziedziczyła jeszcze po swojej prababce i z szerokiego fartuszka, z pięknej indyjskiej materii, w którą była wtkana niezliczona ilość fiołków.

W swoje kruczo-czarne włosy wpłotła Ilona błyszczące monety i białe muszle i spuściła je na plecy.

Do kieszeni wepchnęła flaszkę z anyżówką, do której dosypała proszek wzięty od Tary.

Zamyślona przypatrywała się sobie w małym kawałku lustra.

— Wisznu, pomóż mi! — mruknęła i wysunęła się z namiotu.

Nie chciała przejść obok obozu cyganów, wolała obejść go i przejść przez najgęstsze krzaki, bo chciała widocznie ukryć przed swoimi, że idzie do zamku Felseg.

— Alojzy lubi rumiane policzki — pomyślała cyganka. — Dziś jestem trochę blada, temu muszę zapobiec.

Z największą szybkością poczęła się wspinać na górę, aby krew szybciej w jej żyłach krążyła. Osiągnęła też co chciała, bo gdy się zbliżyła do zamku, była rumiana, a oczy jej błyszczały.

Zaglądnęła przez okno do pokoju kasztelana. Ale był próżny.

Lekkim krokiem udała się do ogrodu. Alojzy siedział pod wielką gruszą.

Dziewczyna zbliżyła się bez szmeru i przysłoniła mu oczy swojemi małemi, czarnemi rękoma.

— Zgaduj, kto jest — szepnęła.

— Ilona! — zawołał uradowany. — Moja droga, słodka dziewczyna.

— Zgadłeś — powiedziała, śmiejąc się i opuściła ręce.

On objął ją swojemi ramionami i ucałował namiętnie.

Ona broniła się słabo.

— Patrz, dzieweczko — mówił — winnaś mi jeszcze małe odszkodowanie.

— Małe odszkodowanie przyniosłam ci też — odrzekła i wyciągnęła z kieszeni flaszkę z anyżówką.

— Patrz Alojzy, to twój ulubiony napój — rzekła.

Napij się do mnie, moje kochanie — prosił on, oczarowany jej uprzejmością.

Ona przytknęła flaszkę do swych różanych ust i podała ją potem kasztelanowi, nie skosztowawszy wcale zawartości tejże. Kasztelan pił jednym tchem.

— Nie pij tyle na raz — przestrzegała Ilona — uderzy ci do głowy.

— A dlaczegożby nie — odrzekł Alojzy śmiejąc się. — Czyż jestem dzieckiem małem albo starą babą? Litr anyżówki nigdy mi nie zaszkodzi.

I znowu pił chciwie. Ona przypatrywała mu się błyszczącymi oczyma; wiedziała już, że jest bliską wypełnienia swego planu.

Kasztelan podał cygance próżną flaszkę i patrzył bezmyślnie przed siebie, śmiejąc się idiotycznie.

Ciało jego stało się ociężałe i ospałe. Mechanicznie poszedł do zamku, mechanicznie też sporządził dla siebie kolację.

Nie spostrzegł wcale, że Ilona poszła za nim do zamku i że skryła się w jednej z komnat.

O zwykłej porze sporządził machinalnie pożywienie dla swego więzienia i poniósł je przez długi rząd pustych komnat, które już z przyzwyczajenia za sobą zamykał, nie zauważywszy wcale, że Ilona postępowała za nim jakby cień.

ROZDZIAŁ XLIII

Na wiejskim cmentarzu

Woda zwolna już opadła; strumyki górskie wróciły do swoich dawnych łożysk, a pogodne niebo wzniosiło się nad smutną, opustoszałą okolicą.

Tamy i mosty były zerwane, drogi zniszczone, gdyż woda wyżłobiła w nich głębokie rowy; z domów pozostały zwaliska, a jeżeli które zostały w całości, to były mocno uszkodzone; pola były zniszczone i pokryte grubą warstwą mułu.

I ludzie, dawniej weseli, chodzą teraz przygnębieni i smutni, gdyż prawie każdy miał jakąś szkodę materialną, a niektórzy jeszcze więcej mieli powodu do smutku, bo stracili kogoś ze swoich najdroższych; a w tym roku zabrała woda wiele ofiar.

Przeznaczono też dzień, w którym miano złożyć zwłoki wszystkich nieszczęśliwych do jednego grobu.

Smutno i uroczyście rozbrzmiewał głos dzwonu, był to głos odprowadzający wielu, jeszcze niedawno żyjących młodych i starych osób, do grobu.

Teraz wysunął się długi orszak pogrzebowy na gościniec.

Naprzód szedł chór, potem cały szereg trumien, niesionych przez wieśniaków, a przy samym końcu zamykała pochód niezliczona ilość osieroconych osób.

Był to wzruszający serce widok.

Trumny postawiono na wolnym miejscu wśród cmentarza.

Stąd ksiądz zwrócił się z przemową do obecnych.

Mówił o tym, jak ciężko ich Pan Bóg w ostatnich dniach dotknął, jakim surowym sędzią teraz się okazał. Upominał swoich parafian w krótkich ale przejmujących słowach, aby sobie zapamiętali i wzięli do serca tę przestrogę Wszechmocnego i zachęcał do pokuty.

Potem mówił o losie zmarłych, że ci będą szczęśliwi, którzy żyli z Bogiem. W szczerych słowach malował szczęśliwość dobrych chrześcijan, których tak nagle Bóg powołał przed swój tron.

Ale przy końcu zachmurzyło się jego czoło, a głos jego brzmiał jak grom, gdy mówił o tych, którzy nie czynili nigdy żadnej pokuty.

— Nie wszyscy — mówił on — których Pan Bóg odwołał z tej ziemi, byli na śmierć przygotowani. Biada tylko tym, których życie otaczała ciemna tajemnica, którzy kłamali i nie obawiali się lekceważyć sobie świętość komunii, gdyż nie spowiadali się ze wszystkich grzechów.

Biada im! Oni stoją teraz przed sądem Najwyższego. Tam spotka ich już kara za ich winy.

Niewymownie bolesne łkanie dało się słyszeć, gdy kapłan słowa te wymawiał. Wszyscy obecni zwrócili się ku smukłej postaci Hortensji, ubranej na czarno i opartej na ramieniu Leona.

Wszyscy wiedzieli, że słowa te, wypowiedziane przez księdza, odnosiły się tylko do Fellhuberów i godzili się zupełnie ze zdaniem księdza.

Gdy się okazało po wyratowaniu Hortensji, że nie jest idyotką, za jaką ją Fellhuberowie przedstawiali, powstało ogólne oburzenie na nich, za tak fałszywe świadectwo, jakie jej przez tyle lat wystawiali.

Utrzymywano ogólnie, że poza tym kłamstwem kryje się jakaś wielka tajemnica, której nie można było przeniknąć.

W spuściźnie po Fellhuberach, tak bardzo zniszczonej wodą, nie został żaden dokument, któryby świadczył o pochodzeniu Hortensji. Jedyne, co mogło poniekąd być punktem wyjścia w dochodzeniach, był medalion, który młoda dziewczyna nosiła na szyi na cienkim, starodawnym łańcuszku.

W medalionie nie było też żadnej fotografii tylko czarne i blond włosy razem splecione. Na zewnętrznej stronie medalionu był herb z koroną dziewięcio - pałkową ułożony z kamyków, ale z biegiem czasu wypadło tyle kamyków, że nawet proboszcz, który był bardzo dobrym heraldykiem, nie mógł nic wywnioskować z tych zatartych śladów.

Ksiądz był też najwięcej oburzony na Fellhuberów. Nie mógł im tego przebaczyć, że ukrywali przed nim tajemnicę i że nigdy w czasie spowiedzi do tego się nie przyznali. Uważał Hortensję jako ofiarę jakichś spekulacyj ze strony zmarłych i litował się nad młodą dziewczyną.

Skoro się jednak przybliżył do Hortensji, mówił o jej zmarłych opiekunach z takim oburzeniem, że dziewczyna, która czuła wdzięczność dla nich, a nie umiejąc ich bronić, jeszcze bardziej płakała i przedsięwzięła tak gorąco modlić się do Pana Boga, ażeby cierpieniom ich ulżył.

Proboszcz zakończył swoje przemówienie modlitwą prosząc Boga o spokój wieczny dla umarłych i pocieszenie dla pozostałych.

Potem spuszczono trumny do ziemi, ksiądz wypowiedział ostatnie swe błogosławieństwo, obecni dorzucili po grudce ziemi i obrzęd pogrzebowy tym się zakończył.

W ten sposób uczczonem zostało ustąpienie zmarłych z grona ludzi żyjących.

Teraz rozchodzili się wszyscy w różne strony, tylko dwoje ludzi nie opuszczało cmentarza. Hortensja poszła w głąb cmentarza, a Leon podążył za nią.

Młode dziewczę usiadło na ławce i płakało, Leon niej. Objął ją swym ramieniem i pocieszał.

Od owego dnia, w którym uratował Hortensję od śmierci, kiedy uczuł, że kocha ją nad życie a Hortensja okazała mu tyle wzajemności, od tego dnia uważał się za narzeczonego jej i przysiągł sobie, że ją poślubi.

Umieścił Hortensję w małej gospodzie, w której sam mieszkał i polecił ją szczególnym względom gospodyni jako swoją narzeczoną.

Sam otaczał ją troskliwą opieką w której łączył gorliwość kochanka z pobłażaniem ojca, a jego miłość dla młodej dziewczyny wzrastała z każdym dniem.

Leon z upragnieniem oczekiwał tej chwili, w której będzie ją mógł naz-

Ciąg dalszy na str. 979.



Były cesarz Abisynii zabrał również z swojej ojczyzny do pałacu w Harrar wielki zbiór złota. Obecnie 1000 sztuk z tego zbioru licytuje się w Londynie.



WESOŁYCH ŚWIĄT!

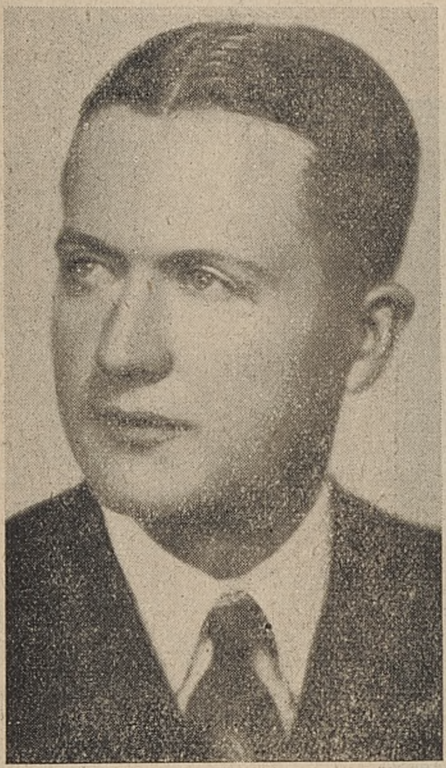
Wesołych świąt! Wesołych świąt!
Trochę pogodnych dni radości,
Złe myśli precz, kłopoty w kąt!
Niech spokój w sercach naszych gości.

Wesołych świąt! Wesołych świąt!
Radujmy się, kto żyw, kto młody!
Niech porwie nas beztroski prąd,
Tych dni wytchnienia i swobody.

A. K.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu



„Latorośl Kaszubska", nowy Sympatyk „Krainy" poza apelem, przedstawia się nam na zdjęciu.

NIE MARTW SIĘ...

„Banialuka". Ależ owszem, Droga Banialuko, pseudonim Pani jest bardzo miły, a najważniejsze — oryginalny. Pewna jestem, że zjedna Pani wielu nowych sympatycznych znajomych.

Przyjmuję Panią chętnie do naszej gwarnej „Krainy" — w tym świątecznym numerze „Moich Powieści". Czy jest Pani zadowolona? Sądząc z liściku, „Banialuko" Droga, masz w sobie wiele poczucia humoru i tym ujęłaś mnie z miejsca. Z zadowoleniem też przyjęłam zapowiedź długiego liściku z szczegółowym opisem Twego otoczenia. To nic, „Banialuko", że mieszkasz na wsi. Wieś jest zawsze urocza, gdy umie się patrzeć na nią — a posiada tę uniwersalną cechę, jaką jest spokój, cudowna cisza. A niekiedy tak bardzo potrzeba ludziom ciszy i odpoczynku.

Znajdą się miłe, dobre „bratnie dusze", co napiszą do Ciebie wiele jasnych słów. Odpowiesz im po swojemu, z tą leciutką domieszką humoru i już popłynie dwustronna korespondencja — miła dla obu stron. Czy tak? Napisz mi, „Banialuko", więcej o sobie — czekam!

A teraz przesyłam w imieniu „Banialuki" wiele uścisków dla „Złotej Rybki II" i „Samotnej Kukułki".

„ZAINTERESOWAŁ MNIE „MAREK"

„Ada". Witam Panią serdecznie w „Krainie" i wierzę, że liścik niżej zamieszczony, przyniesie Pani jakąś odmianę w życiu. Ucieszę się, jeżeli wiara moja dobrą będzie...

„Ogromnie brak mi towarzystwa. Miałam stale obok siebie ludzi dobrych, miłych i „morowych". Obecnie, wskutek zmiany miejsca pobytu, czuję się źle. Czasem samotność wyciska mi nawet gorzkie łzy. Gorąco pragnę znaleźć kogoś bliskiego duszy.

Jestem nauczycielką, brunetką, pełną życia, obecnie jakby na wygnaniu. Kocham piękno we wszelkiej postaci, a najwięcej w ludzkim charakterze.

Zainteresował mnie „Marek", wobec czego przesyłam Mu słoneczny uśmiech. „Miłe pozdrowienia dla „Uśmiechu Poranku".

SĄDZĘ, ŻE TAK!

„Słodka Królewna — Kini". Naturalnie, że przyjmuję Cię do „Krainy", miła „Królewno". Czy otrzymasz liściki? — Sądzę że tak! Pseudonim Twój jest przecież tak zachęcający, no i poniższy apel ogromnie miły:

Hallo! hallo! Tu „Słodka Królewna — Kini" przedstawia się:

Powiem poprostu —
jestem średniego wzrostu,
jestem szczupła i zgrabna
i podobno ładna.

Mam ciemne, bujne włosy —
świecą, jak perły rosy,
mam usteczka koralowe
i oczęta szafirowe.

Kocham bardzo słońce, kwiaty,
Lubię marzeń moich światy
I choć jestem bardzo młoda,
Ale słodka, jak... jagoda.

Pozdrawiam wszystkich sympatyków „Krainy". Osobne pozdrowienia ślę dla: „Jadźki z Kujaw", „Białej Uajali", „Kaliny", „Duśki", „Dumki", „Aniteńki", „Blanki", „Bajki", „Ord - Oma", „Czarnego Olka", „Dumnego Lwa" i dla „Zdobywcy Serc".

NIECHAJ...

„Zapomniana Sylena". Niechaj odejdą od Ciebie — życzę Ci, „Syleno" — podczas Świąt wszystkie smutki i zmartwienia, a pozostanie świadomość, że jesteś tak samo człowiekiem, jak inni i masz prawo do radości, do szczęścia, do korzystania z czarownego uroku świąt. Droga moja, nie poddawaj się rozpaczy i zniechęceniu — trudno — takie już jest życie. Jak w kalejdoskopie zmieniają się w nim stany uczuć, nastroje, przypływy i odpływy dobra i zła. Ale trzeba właśnie wierzyć, w te przypływy i odpływy, trzeba wierzyć mocno, że ból, cierpienie, które silną rysą znaczą nasze charaktery — przejdą, przeminą, a ich miejsce zajmie radość.

Rozumiem, że ciężko Ci żyć, lecz bądź dzielną, nie daj się zgnieść cierpieniu. Gdy będzie Ci smutno i źle, gdy zwątpienie i bunt targać będą Twoją duszyczką — napisz, „Syleno", do mnie, napisz wszystko, co czujesz i przeżywasz. Będzie Ci lżej, a mnie sprawisz radość tym dowodem zaufania.

Jeszcze raz życzę Ci Wesołych Świąt! Niechaj przyniosą Ci naprawdę spokój i jasny, radosny promyczek nadziei. Dopisek z listu — zamieszczam:

„Smutna Hanko", przesyłam Ci milutkie pozdrowienia, jeżeli przytłacza Cię smutek, jak mnie — napisz, Kochana, do mnie".

„Pozdrawiam również „Wikon", „Karinę", „Erosa", oraz „Jura". Czy zechce, który z Was napisać do mnie, tak bardzo mi potrzeba pocieszenia?"

„NIE BĘDZIESZ TY, TO BĘDZIE INNY"...

„Chryzolit". „Nie będziesz ty, to będzie inny"... tak mówią wszystkie młode, nowoczesne dziewczęta — pisze Pani. Muszę Pani przyznać rację, że nieraz tak istotnie bywa, ale co się poza tymi kilkoma słowami mieści, to tylko Bóg jedynie wie. Sama słyszałam już parę razy te lekkie, pełne słodkiej rezygnacji słowa, wymawiane przez młode kobiety. Słowom tym towarzyszyła brawura i głośny śmiech, a jednak wyczułam, że poza tym śmiechem drży coś ogromnie bolesnego i przykrego. To był śmiech przez łzy. Kobieta nowoczesna jest silną i dzielną, nie pokazuje łez i nie łamie rąk w rozpaczy, ale serce posiada takie same, jak jej babki i prababki. Serce pozostało niezmienione — potrafi zawsze jednakowo być wierne i gorące, potrafi kochać bezpamiętnie i cicho cierpieć, chociaż usta uśmiechają się dzielnie.

Droga moja, na radosne święta przesyłam Ci jak najlepsze życzenia, aby serce przestało boleć i wiara w lepsze jutro spotęgowała się. Żegnam i czekam następnego listu!



„Samotna Sosna", której miłą twarzyczkę widzimy na powyższym zdjęciu, mówi:

Za szczęście moje dałabym życie,
Słoneczną wstęgę z kochania dni,
Gwiazdę marzenia, co drży w błękicie,
Łzę, która blaskiem brylantu lśni...
Z pełnemi skarbów rękami stoję —
Czy przyjdziesz do mnie? O! Szczęście moje!

Widzisz, w majowych blaskach poranku
Czekam na ciebie... bajko ułudna!...
Czekam w maków szkarłatnych wianku
Chociaż mi dola, trudna,
Lecz ja powtarzam: ja się nie boję!...
Kiedyś - powitam to szczęście moje!...

JEDYNĄ MOJĄ ROZRYWKĄ TO „MOJE POWIEŚCI"

„Smutna Iwonka". dłuższy czas zabierała się do napisania listu do „Krainy" i wreszcie napisała. List Jej przeczytajmy sobie wszyscy:

„Życie moje jest podobne do szarych, smutnych dni jesieni. Jedyną moją rozrywką to „Moje Powieści". Najwięcej podoba mi się „Kraina". Sympatyków jej, chociaż nie znam, ale lubię. List, od któregoś z nich, ucieszyłby mnie bardzo.

A teraz kim jestem i gdzie mieszkam? Otóż jestem młodą blondynką z długimi warkoczami, oczy mam niebieskie. Lubię długie spacery, kocham marzenia i przepadam za podróżami. Mieszkam w małym miasteczku. Pracuję w biurze.

Na „dowidzenia" zasyłam milusie pozdrowienia i moc uścisków — „Milutkiej Lenie" — „Sonii" — „Jaśce" — „Leniuszkowi" i proszę, aby któraś, z tych kochanych dziewczynek, napisała do mnie? O to samo proszę Czytelniczki z Grodziska i Torunia.

WIZYTA UCIESZY MNIE BARDZO

„Lawrence". Oczywiście, że wizyta Pańska ucieszy mnie bardzo. Proszę jednak Pana o podanie mi godziny przybycia, abym była obecną w redakcji. Życzę Panu wesołych świąt i zamieszczam niżej notatkę Pana:

„Charitesowi" dziękuję za pozdrowienie, „Blance" zaś za przychylną ocenę mego listu dyskusyjnego".

DLA „LEŚNEGO BOŻKA"

„Duszyczka" przesyła „Leśnemu Bożkowi" tych kilka słów:

„Dziękuję za pamięć. Nie zapomniałam jeszcze, dlatego też nie mogę płacić obojętnością. Nie mam do Ciebie żalu i życzę Ci dużo szczęścia. Pamiętasz te chwile razem spędzone i paprocie, pamiętasz Luciu? Wspomnij czasem o nich.

Drogi nasze się rozchodzą — szukajmy czego szukamy, a może kiedyś... spotkamy się znowu i wtedy... .. wtedy powiemy sobie, czy znaleźliśmy szczęście, czy złudę"....

„CZY ZNAJDĘ W „KRAINIE" BRATNIĄ DUSZĘ?"

„Chiński Zew" donosi: „Jestem wesołą i pogodną dziewczynką. Lubię tańczyć, śpiewać i uśmiechać się, choć uśmiech wesoły nie zawsze bywa dowodem pogody serca.

Kocham piękno — cenię nadewszystko szczerość, dobroć i prawdę. Mimo, że srogi los nie szczędził mi nigdy cierni, nie tracę nadziei — wszak kto ma wolę wszystko pokona.

Pracuję w biurze. W pracy znajduję dużo zadowolenia i zdawało by się, że mi nie brak niczego, a jednak przychodzą chwile, w których tęsknię za czymś nieokreślonym, za kimś bliskim, drogim.

Czy znajdę w „Krainie" jakąś bratnią duszę?

„Serdecznie pozdrawiam: „Kwiat Paproci" — „Romę" — „Anetkę z Torunia" — „Wesołego Człowieka", — „Marka" — Stefka z Gdyni" i „Podchorążego z Grudziądza".

WIERZĘ

„Did". Z przyjemnością przyjmuję Pana, jako nowego członka do „Krainy".

Nie wiem, co wpłynęło na stan głębokiego smutku i melancholii, jakie Pan odczuwa — czy jakieś przykre przejścia, czy też jest to wrodzoną cechą Pana charakteru. Bez względu jednak na powód, wierzę że minie ten okres, że pozna Pan serdeczne, dobre dusze, które Panu życie rozjaśnią i rozweselą.

Proszę zatym w imieniu „Dida", który jest przystojnym, wysmukłym, szatynem o smutnym sercu, aby miłe Sympatyczki i Sympatycy „Moich Powieści" napisali do niego szczere, radosne listy.

Łączę dla Pana wiele miłych pozdrowień i życzę, aby święta przyniosły Panu dużo zadowolenia.

FOTOGRAFII MOJEJ NARAZIE NIE BĘDZIE

„Czarny Saturn" ma bardzo „skromne" życzenia świąteczne:

„Chciałbym tylko, aby mi gwiazdor przyniósł Panią — ach! — tylko p. Zosieńkę! Proszę więc w „Krainie" dać swoją podobiznę...

Miły „Saturnie", jesteś wprost rozbrajający z tym swoim życzeniem, niestety, niestety, nie mogę uczynić zadość. Dlaczego? —, z tej prostej przyczyny, że jesteś jednym z niewielu, którzy głosują za tym, abym zamieściła swoje zdjęcie — reszta zaś, tych jest przewaga, protestuje przeciw żądaniu pierwszych. Prawem rozsądku muszę przychylić się do większości głosów i dlatego też fotografii mojej w „Moich Powieściach" narazie nie będzie.

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pana: „Inkę" — „Milionerkę" — „Takie małe Coś z loczkami" — „Pomorzankę" — „Blankę" — „Pannę Jadkę" — „Ryśkę D." — „Smutną Sztubaczkę" i „Ku - kuk - Ce".

JAK NAJUPRZEJMIEJ DZIĘKUJĘ!

„Samotny Rom". „A może umieści Pani swoją podobiznę w „Moich Powieściach", co Pani na to?"...

Ponieważ nie chcę powtarzać się w tej kwestii odsyłam Pana do odpowiedzi, danej w bież. numerze „Czarnemu Saturnowi".

Za list, podyktowany szczerym i dobrym sercem — jak najuprzejmiej Panu dziękuję. Zapowiedziana wizyta cieszy mnie bardzo, chociaż tak jeszcze do niej daleko.

A teraz dopisek Pana:

„Wa - Li" i „Sportsmence" dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Może jednak Panie napiszą do mnie pierwsze? Chętnie odpowiem! Pozdrawiam również „Córkę Wichru" — „Białą Uajali" i „Stellę Maris".

COŚ DLA „KRATERA II"

„Kamil". Zainteresował mnie Pan swoim listem. Oczywiście nie mogę postawić słowa „tak" na wszystkie pytania, dopóki nie poznam Pana bliżej. Z pierwszego listu Pana wnioskować mogę tylko to, że jest Pan miłym chłopcem, pracowitym i ciekawie patrzącym na świat. Same plusy, prawda? Wyobrażam sobie ile tych plusów przybędzie po dłuższej korespondencji, którą Pan obiecał prowadzić.

Lecz „ad rem". Przyjmuję Pana chętnie do miłej „Krainki". Znajdzie w niej Pan nie jedną, a bardzo wiele „Siostrzyczek", które napewno pośpieszą z listem — zgodnie z Pana życzeniem.

Zapowiedziane odwiedziny ucieszył mnie Pan bardzo. Moje godziny przyjęć codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 9 — 1-szej.

A teraz coś od Pana dla „Kratera II". „Przesyłam serdeczne pozdrowienia. O ile się nie mylę poznałem Cię „Kraterze II." w Teatrze Miejskim w Bydgoszczy, w czasie operetki „Żółte liście" z Merą Gabrieli. Pamiętasz „Bar na Jezuickiej"?"

NIE TRZEBA...

„Smutny Sztubak z pod lasu". Nie trzeba zrażać się „smutną rzeczywistością", o której mi pisze Pan. Jest Pan jeszcze młodym chłopcem i tyle zmian zajść może jeszcze w życiu Pana.

Liściki wysłałam, jak Pan sobie życzył. Czy otrzymał już Pan odpowiedź?

Do drugiej prośby Pana odnoszę się również przychylnie.

Życzę miłego spędzenia świąt i wiele dobrych myśli.



Pisałam kiedyś, że **„Wirryt"** jest interesującym chłopcem, a że tak istotnie jest, potwierdza powyższe zdjęcie.

APEL ZE WSI

„Niezapominajka z Pomorza". Droga „Niezapominajko", z radością przyjmuję Panią do naszej „Krainy". Napewno będzie Pani dobrze czuła się wśród swoich nowych znajomych, którzy urozmaicą Pani życie liścikami.

„Niezapominajka" jest dziewczynką 18-letnią ciemno — blondynką, oczy niebieskie. Mieszka na smutnej wsi i z niecierpliwością oczekuje na ciekawe wiadomości od Czytelniczek i Czytelników „Moich Powieści". Kto do niej napisze? Może „Dumka" zechce skreślić parę słów? Pozdrawiam Panią serdecznie, życząc miłych i wesołych świąt.

KTO POŚWIĘCI WIERSZYK?

„Nie — biedna". Nie zgadła Pani — nie jestem tą, za którą mnie Pani wzięła. Główka musi jeszcze trochę popracować nad rozwiązaniem zagadki...

Za ostatni, serdeczny list — bardzo dziękuję! Część listu, skierowaną do Sympatyków, przedrukowuję:

„Przesyłam pozdrowienia wszystkim Czytelnikom „Moich Powieści", a zwłaszcza tym, którzy pisują wierszyki — „Blance" — „Białej Uajali" — „Iwoli" — „Jadźce z Kujaw" — „Ord - Omowi" i „Te — Em". Może któraś z wymienionych osób zechce poświęcić mi chociaż skromny utworek?

Sympatycznemu „Cisowi" przesyłam osobno pozdrowienia.

„Maronie"! Serdecznie pozdrawiam!

Siostrzyczkom moim w Łodzi oraz szwagrowi — ślę dużo całusów!"

PAMIĘTAJ O MNIE!

Pamiętaj o mnie,
Gdy zmierzch cichy szary,
Na ziemię spłynie,
Roztaczając czary,
Pamiętaj o mnie,
Gdy Ci kiedyś w świecie,
Ciężko będzie i źle,
Gdy troska pierś przygniecie.

Pamiętaj o mnie,
Gdy słońce wieczorem,
Morze rubinów
Rozpali nad borem,
Pamiętaj o mnie,
W każdej życia dobie,
Pamiętaj o mnie,
Tak, jak ja o Tobie...

Zbłąkana Gwiazda.

POLECIŁAM WYSŁAĆ ADMINISTRACJI

„Te - Em". Numery autorskie poleciłam wysłać administracji. Serdecznie Pana pozdrawiam.

KTO NAPISZE DO „LENIUSZKA"?

„Leniuszek". Nareszcie odpowiedź! — pomyślisz napewno, „Leniuszku". Tak i w dodatku w numerze świątecznym. Z tej też racji przesyłam Ci życzenia wesołych świąt i radosnej wigilii.

Liścik wysłałam — przypuszczam, że otrzymałaś już odpowiedź?

A teraz kto napisze do „Leniuszka"? Może ktoś z Gniezna? — „Leniuszek czeka!

MARZENIA DWÓCH SIOSTRZYCZEK

„Szarotka" i *„Rozpieszczona Kotka"*, dwie kochające się siostrzyczki, pragną również należeć do „Krainy" i prowadzić szeroką korespondencję z Sympatykami. Mieszkają we wschodniej granicy Wielkopolski i prowadzą od lat spokojny, monotonny żywot mieszkańców prowincjonalnych miasteczek. Marzą o jakimś radośniejszym i ciekawszym wydarzeniu życia...

Przesyłają słowa pociechy i nadziei w lepsze jutro: „Smutnej Kazieńce" — „Samotnej Dzidzi" i „Samotnej Oleńce". Jak najmilej pozdrawiają „Zapomnianą Sylenę" — „Sonię" — „Duśkę" — „Marzyciela z pod Kościana" — „Cis" — „Gladiatora" i „Oddalonego".

POZDROWIENIA

„Czarny Łobuz z Chaty Wuja Toma" gości poraz pierwszy w „Krainie" i ogranicza się tylko do przesłania pozdrowień następującym osobom:

P. P. Walerci, Feliksowi i Walerkowi Domachowskim (czy ten ostatni przypomina sobie podróż do Krusina?), „Pięknej Cyganeczce" — Edkowi Burdelskiemu, Beńkowi Śmigielskiemu, „Czarnemu Madziarowi" i P. P. Żywieckim z Mełna.

„Czarny Łobuz" zapytuje równocześnie „Piękną Cyganeczkę", czy zapomniała już o „cygańskim obozie". „Nieszczęśliwej" — „Smutnej Indiance" — „Smutnej Kazieńce" i „Smutnej Imeldzie" — przesyła słowa pociechy oraz słoneczny uśmiech.

JESZCZE NIC O PANU NIE WIEMY

„Biały Tulipan". Przyjmuję Pana do „Krainy", choć właściwie nic o Panu nie wiem. Czy nie zechciałby Pan napisać obszerniejszego liściku? Każdy nowy przybysz naszej Rodzinki interesuje mnie i radа jestem, poznać bliżej jego upodobania, radości i smutki.

Adresów nie podaję, są one wyłączną tajemnicą redakcji. Jeżeli Pan chce skomunikować się z którąś z Czytelniczek, proszę list przesłać na adres „Moich Powieści".

Serdecznie Pana pozdrawiam!

PRZYPUSZCZAM...

„Edek z Gdyni". Mało Pan napisał o sobie w pierwszym liście — i nie wiem, jak Pana przedstawić w tym kąciku. Sam pseudonim tak mało mówi. Przypuszczam, że w najbliższej przyszłości uzupełni Pan wiadomości o sobie, prawda? Miłe pozdrawiam!

NIE POSKĄPIĘ NIGDY

„Stokrotka Polna". Serca i życzliwości nie poskąpię Ci nigdy, „Stokrotko" — bądź pewna! List wysłałam. Całuję i pozdrawiam!

TO RADOŚĆ DLA MNIE NAJWIĘKSZA

„Ikar III". Takie listy, jak Pański, to radość dla mnie największa. Dziękuję za te wszystkie dobre słowa i łączę miły uścisk dłoni.

HALLO! „MIŁOŚNIKU KOBIET"!

„Cyganka ze smętnymi oczyma" chętnie wypożyczy „Miłośnikowi kobiet", książkę — „Porwana w noc poślubną".

ŻYCZENIA

„Wenus". Z całego serca życzę Pani jak najpomyślniejszych wyników w zawodach sportowych i zdobywania coraz to nowych sukcesów.

Z nadesłanych zdjęć zamieszczę największe, gdyż mniejsze fotografie są trochę niewyraźne i do reprodukcji mało zdatne.

Wesołych Świąt!

NIECH TWOJA GWIAZDKA...

„Cyganeczka". Jak to ładnie, że znów napisałaś do mnie, „Cyganeczko". Twoje słowa, powtarzam nie wiem poraz już który, są takie szczere i miłe, że nietylko nie mogą mnie znudzić, lecz dają mi wiele zadowolenia. Pisz częściej i obszerniej o sobie, o swoich troskach i radościach, a będę jeszcze więcej zadowolona.

Sprawę wysyłki „Moich Powieści" załatwiłam jak należy.

Przesyłam dużo dobrych życzeń. Niech Twoja Gwiazdka, „Cyganeczko", będzie pełna radosnego wzruszenia i spokoju.

ADRESÓW MOICH SYMPATYKÓW NIE ZDRADZAM

„Adonis z Podlasia". Miło mi powitać Pana w „Krainie", tym więcej, że tyle ma Pan uznania i podziwu dla tego działu.

Pisze Pan: „.... całą duszą pragnę należeć i korespondować z Sympatyczkami „Krainy". Wierzę, że wiele Czytelniczek przeglądając ten świąteczny numer zainteresuje się tymi słowami i wkrótce otrzyma Pan wiele miłych liścików.

Czytelniczkom „Moich Powieści" zdradzam sekret: pod pseudonimem „Adonis z Podlasia" kryje się młody ciemny blondyn, podobno ładny, posiada średnie wykształcenie i interesującą pisze. Zachęci to napewno wiele Pań.

„Adonis z Podlasia" pozdrawia wszystkich w „Krainie", szczególnie „Dumkę" o słodkim spojrzeniu i „Blankę" na stalowym rumaku.

Adresów, niestety, nie mogę Panu podać — stanowią one tajemnicę redakcji. Radzę jednak przesłać liścik dla danych Pań do mnie, a ja skieruję go pod właściwy adres.

Również niecierpliwie oczekuję zapowiedzianego długiego listu. Proszę napisać tak mile, jak ostatnio.

Przesyłam Panu wiele serdecznych, gwiazdkowych życzeń i ściskam dłoń.

WIERZ I UŚMIECHAJ SIĘ DZIELNIE

„Dziewczę z Kujaw". Mam nadzieję, że w chwili, gdy piszę te słowa, Tatuś Twój, Dziewczynko, jest już zupełnie zdrów. Myślę, że mi wkrótce coś o tym doniesiesz?

Pana J. doskonale sobie przypominam i miło mi bardzo, że doniosła mi Pani kilka słów o nim.

Smutno Ci, tak dziwnie nieraz smutno... Dziewczynko Miła, to minie z czasem, wierz w to i uśmiechaj się dzielnie. Zaśpiewaj sobie beztrosko przy świątecznej choince i pomyśl o tym, że w życiu jest dużo uroczych chwil, dla których przecież warto żyć i znosić smutki. Święta Twoje, niech będą naprawdę świętami, niech nie będzie w nich nic z szarzyzny powszednich dni i codziennych kłopotów. Niech się wszystko uśmiechnie do Ciebie radośnie — i choinka w wieczór wigilijny i twarze otaczających Cię ludzi...

(Kilka słów z listu „Dziewczęcia z Kujaw"): „Szarej Dziewczynce" — „Maleńkiej Dzidzi" — „Blance" — „Płaczącej Brzozie" i „Zrozpaczonej Maryli" — ślę milutkie pozdrowienia i uściski rąk. „Samotny Agronomie", nie potępiam, ale podziwiam — oby takich jednostek było jak najwięcej. „Blondynkowi z Pałuk" i „Białemu Krukowi" — miłe pozdrowienia".

NIE POSKĄPMY SERCA

„Stawa". „Niechże razem z tym podmuchem zimowego wichru, którego słucham w mej samotni, przypłynie i ku mnie trochę pociechy i serca od kochanych Sympatyczek i Sympatyków „Krainy"...

Zatrzymajcie się, Drodzy Sympatycy, na chwilę, przy powyższym życzeniu. Ktoś samotny prosi o trochę serca — nie poskąpmy więc go...

ŻYCZENIA W PEŁNI ODWZAJEMNIAM

„Leszek z Zielonej Doliny". Miło mi usłyszeć, że udział Pana w „Krainie" przyniósł Mu wiele urozmaicenia w życiu. Życzę, aby tak było i dalej i z radością pasuję Pana na stałego przyjaciela naszego tygodnika.

Pozdrowienia Pana przekazałam Wujkowi Januszowi, sprawiając mu tym wielką radość.

Za życzenia skierowane do mnie szczerze dziękuję i w pełni je odwzajemniam.

KTÓRE ?

„Głos Serca". Apel umieszczam, natomiast próbkę literacką konfiskuję, gdyż jest obecnie już zupełnie nieaktualną.

„Która z miłych Sympatyczek „Krainy", nawiąże korespondencję z blondynem, lat 24, zapalonym sportowcem - tenisistą — lubiącym szalenie muzykę, śpiew, podróże, wycieczki oraz ciekawe przygody?"

MOJEJ DOBREJ DZIEWCZYNCE...

„Małej Konwalijce", mojej dobrej Dziewczynce, przesyłam na radosne święta Bożego Narodzenia jak najlepsze życzenia.



Główka **„Słodkiej Danusi"** przypomina jasnowłosą bohaterkę moniuszkowskiej opery — Halkę.

NIE JESTEM ŻONĄ WUJKA JANUSZA

„Maleńka Doritt". Panowie, których wymieniła Pani w liście, nie abonują „Moich Powieści". Skromniutkim życzeniom, „Maleńkiej Doritt", postaram się uczynić w najbliższej przyszłości zadość.

Nie wiem, skąd się wzięło u Pani podejrzenie, że jestem żoną Wujka Janusza — zapewniam Panią, że nie jestem nią.

Dalszą treść listu Pani przedrukowuję:

„Podobał mi się list dyskusyjny „Antygony". Dobre i szlachetne serduszko musi ta Pani posiadać. Ślę Jej serdeczny uścisk dłoni oraz życzenia wszystkiego najlepszego.

Podobała mi się na zdjęciu „Duśka" — chciałabym odebrać od Niej liścik.

Również byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mi ktoś poświęcił choć króciutki wierszyk. Może p. J. Bojar z Wołynia? Chętnie nawiążę korespondencję z kimś z Wołynia. Również listy z pod Śremu sprawią mi radość.

Tak się rozpisałam, a przecież wpierw powinnam podziękować P. Stefowi Sz. za życzliwość. Nie napisałam do Pana, bo... no, bo nie mogłam. Proszę, niech Pan do mnie — skreśli kilka słów, oczywiście, o ile to sprawi Panu przyjemność.

Jeszcze jedna prośba: może napisze do mnie „Samotna Konwalia"? Posiada Ona takie same zapatrywania, jak i ja, dyskusje mogą więc „wychodzić" bardzo miło".

„CHCIAŁABYM UTRZYMYWAĆ Z WAMI BLIŻSZY KONTAKT"

„Marika". Mam dla Ciebie dużo uznania, Droga „Mariko" i dużo sympatii. Jesteś jedną z tych dzielnych dziewcząt, które pracą i wytrwałością zdobywają wytknięty cel i zawsze śmiało patrzą w przyszłość. List Twój przeczytamy sobie wszyscy:

„Ludzie mówią, żem bardzo odważna, że chwilami odwaga moja przechodzi w bezczelność, nie wiem — może w stosunku do osób dobrze mi znanych.

Powszechnie zwią mnie Mariką, więc i w „Krainie" nią będę. Jestem średniego wzrostu, oczy mam bure, nos i usta normalne, czoło wysokie — wogóle cała moja dumą to czoło.

Od najmłodszych lat dużo pracuję umysłowo. Ojca straciłam wcześnie, matce mojej trudno było ze skromnych poborów, kształcić dwie córki, to też jęłam się korepetycyj i cieszyłam się ogromnie z zapracowanych w ten sposób pieniędzy.

Wreszcie siostra skończyła gimnazjum i musiała pójść na uniwersytet. Ja uczęszczałam do gimnazjum, ale nie przeznaczonym mi jednak było spokojnie roku szkolnego dokończyć. Zachorowała moja matka i musiałam pozostać w domu. Obecnie mam skończonych tylko 6 klas i 18-cie lat, ale postanowiłam sobie, że za dwa lata muszę zdać maturę, więc uczę się, czytam, biegam na korki, odczyty i tęsknię... tęsknię do Was! Chciałabym całą duszę utrzymywać z Wami bliski kontakt. Czy mnie przyjmiecie? Czy ktoś kiedy napisze do mnie"?

ŻADNEGO LISTU NIE ZOSTAWIAM BEZ ODPOWIEDZI

„Wrzos z nad Noteci". Przykro mi, że ma Pani żal do mnie z tej racji; że nie dałam Pani odpowiedzi na ost. liścik. Pragnę P. zaznaczyć, że żadnego listu Sympatyków „Krainy" nie zostawiam bez odpowiedzi i jeżeli nie było w „Krainie" dla Pani słów kilka, to tylko dlatego, że list widocznie nie doszedł.

Chętnie czytam wszystkie wynurzenia miłych zwolenniczek i zwolenników „Moich Powieści". Jedni mówią mniej, inni więcej o sobie i swym otoczeniu. — Pani tym razem pisze mało Dlaczego? Proszę mnie uważać — jak tyle innych osób — za przyjaciółkę, która chętnie udziela życzliwych rad i dobrych słów.

Oczekuję listu i ściskam Panią serdecznie.

MYŚLĘ O TOBIE JAK NAJLEPIEJ

„Księżniczka Tili". Zawiniłyśmy obie — ja, bo źle Cię zrozumiałam, a Ty znowu, Kochanie, podałaś mi swoje wiadomości w trochę niejasnej formie. Pozostanie więc nam teraz uścisnąć sobie na zgodę ręce i kontynuować dalej naszą przyjaźń, prawda?

Ślę Ci, Malutka „Księżniczko" dużo serdeczności i zapewnienie, że myślę o Tobie jak najlepiej, a zwłaszcza teraz po ostatnim liście.

Serdeczne pozdrowienia przesyłam w Twoim imieniu: „Sonii" — „Dance" — „Księżniczce Dari" — „Wirrytowi" — „Niesympatycznemu Edzie" i „Te - Em".

„CHCIAŁABYM ZOSTAĆ ŻOŁNIERZEM"...

„Przedwiośnie". Za ten z cudownych najcudowniejszy uśmiech — bardzo Ci, Kiziu dziękuję! Tak samo za obszerny, ciekawy list o tak niespodziewanym zakończeniu, jak:

...chciałabym zostać żołnierzem, szkoda, że kobiet nie biorą do wojska!"

Uśmiałam się, Kiziu, z tej Twojej „kawalerskiej fantazji", tym więcej, że wzięła się ona u Ciebie nie stąd ni z owąd". Żegnaj i baw się beztrosko podczas Świąt".

BRAK PRZYJAŹNI

„Ika z nad Brdy" pisze: „Jestem ciemną blondynką, 22-letnią, średniego wzrostu, smutną i wesołą — ot, takim zwykłym, szarym człowiekiem, któremu ostatnio ciąży samotność.

Przychodzi nieraz chwila, kiedy chciałoby się szczerze z kimś pomówić, swoje wszystkie smutki i radości opowiedzieć. Czy napisze ktoś do mnie? Ktoś, co lubi kino, książki i długie spacery. Może być z Bydgoszczy czy też wsi, gdyż szalenie lubię wieś".

Zacytowałam urywek listu Pani, przypuszczając, że przeniowi on do Czytelników, którzy obdarzą Panią liczną korespondencją.



Oczy „Białej Uajali" autorki ślicznych wierszyków patrzą na świat w cichej, głębokiej zadumie.

O ZMIERZCHU

Powstają i giną cienie — symbole nostalgji
zadumy,
Srebrzą się zmierzchu godziny cichą melancholją
mijania...
Ciszę mącą tylko wichru rozhowory — tęskne
poszumy
Drzew — co za krasą swych liści, zgubioną
bezpowrotnie, płaczą.

Księżyc chodzi po pokoju i biel drżącego światła prószy,
A oczy wkrąg za niem wodzą, jak... kiedyś za
stadem mew cichych.—
Odzywają się znów echa, które wydarzeń wir
zagłuszył...
— — — — — —
Srebrzą się zmierzchu godziny cichą melancholją
tęsknoty,
Wstają i giną wspomnienia — znaki zmienności, przemijania...

Danuta Wyrybkowska.

OBY TRWAŁO JAK NAJDŁUŻEJ!

„Milutka Lena". Ładnie mi Pani opisała swoje rodzinne strony i codzienne zajęcia. Cieszy mnie, że tak miło układa się Pani życie, tak bez trudów i zbytnich wytężeń. Oby tak trwało jak najdłużej!

Przekazuję Pani pozdrowienia „Białej Uajali" — „Blance" — „Maleńkiej Dzidzi" — „Czarnemu Olkowi" — „Wichrowi" i Synowi Dniestru". Serdeczny uścisk dla „Babinicza".

„PRAGNĘ NAWIĄZAĆ NIĆ PISEMNĄ Z SYMPATYKAMI"

„Latorośl kaszubska". Umieszczam poniżej apel Pana z życzeniem, aby odniósł pożądany skutek.

„Z chwilą, gdy po raz pierwszy dostałem do rąk „Moje Powieści", odczułem ich piękno i stałem się nieodłącznym, skrytym towarzyszem „Krainy". Obecnie, dla wymiany swych myśli, pragnę nawiązać nić pisemną z Sympatyczkami i Sympatykami „Krainy". Jestem ciemno-blondynem, słusznego wzrostu. Przesyłam pozdrowienia „Armidzie" — „Milenie" — „Dzikiej Cygance" — „Ziutce" i „Janinie z pod Rychwałdu".

CZY APEL ZAINTRYGUJE?

„Nowicjuszka II". Przyjmuję Panią do „Krainy" z radością i umieszczam poniżej Pani apel:

„Chciałabym z kimś nawiązać korespondencję. Mieszkam na wsi, daleko od miasta, samotna, bez towarzystwa. Mam lat 20, czarne oczy, wzrost średni. Mówią, że jestem miła i wesoła — czy tak jest — przekona się ten, kto do mnie napisze".

JAK DAWNIEJ...

„Elka". Czy u Pani zmieniło się już coś na lepsze? Proszę, niech napisze znowu Pani do mnie, jak dawniej obszernie i szczerze. Ślę życzenia wesołych i radosnych Świąt i prośbę, aby pozdrowiła Pani drogie sercu memu strony.

Teczka Wujka Janusza

CHOCIAŻ NA CHWILĘ

„Maleńka Dzidzi". Droga „Dzidzi"! W ostatnim liście jesteś znowu dawną wesołą, miło przekomarzającą się dziewczynką. Jestem bardzo zadowolony, że wracają znowu nasze dobre czasy.

Na święta Bożego Narodzenia przesyłam Ci, Droga Sympatyczko, wiele dobrych życzeń. Myśl moja, chociaż na chwilę popłynie w wieczór wigilijny do Pani — proszę i ja o podobną pamięć.

Słowa, nie przeznaczone dla mnie, oddaję do przedruku:

„Hallo! „Psychoanalizo"! Proszę wybacz mi, że nie piszę pomimo prośby. Narazie nie mogę, ale napewno kiedyś napiszę. Pomyśl czasem życzliwie o pewnej smutnej dziewczynce. Wszystkim tym, którzy tak samo, jak ja, kochają Wujka Janusza — ślę moc promiennych uśmiechów".

WIERZ W SIŁY SWOJE...

„O—o—o". Poetyczna natura Pana, napewno znajduje szczyt zadowolenia, mogąc przebywać w tak pięknym zakątku Polski, jakim jest Szwajcarja Kaszubska. Napewno wielu Sympatyków pozazdrości Panu tego szczęścia...

Wiersze jeszcze nie przypadły mi do gustu — okrutny jestem, prawda?

Ściskam Panu na pożegnanie dłoń i: wierz w siły swoje, w dobroć życia, mój młody Przyjacielu, bo wiara taka piękna jest i dobrą.

PRZYRZECZENIA DOTRZYMAM

„Biała Uajali". Proszę przyjąć ode mnie serdeczny uścisk dłoni za to, że z takim umiłowaniem patrzy Pani na świat, na ludzi skrzywdzonych przez los i za to, że ludziom tym życzy Pani tak dobrze.

Co do mego przyrzeczenia, to zapewniam Panią, że dotrzymam go.

Z ostatnio nadesłanych wierszy przeznaczam do druku: „Przychodzą czasem dni"... i Ojchciałabym"...

Na Święta Bożego Narodzenia ślę Pani w dalekie strony jak najlepsze życzenia.

Dopisek Pani oddaję do przedruku:

„Hallo! Tu znowu „Biała Uajali"! Zasyłam całemu gronu Sympatyków „Krainy" moc uśmiechów. Uściski rąk, oraz podziękowanie za list — „Małej Konwalijce". „Wa-lę" proszę o przesłanie mi kilku słów na adres podany kiedyś w „Krainie". „Milenę" proszę o jakiś odzew, tak samo „Wilka Morskiego".

BRAK RYTMU I RYMU

„Samotna Indianka". Ucieszyłem się bardzo liścikowi Pani. Pasuję Panią odrazu na Sympatyczkę mej „Teczki" i wierzę, że przyjaźń moja będzie Pani tak samo miłą, jak przyjaźń p. Zofii.

Nadesłane przez Panią wierszyki przestudiowałem uważnie. Brak im przedewszystkiem rytmu, a nawet i rymu, czyli najważniejszych atrybutów dobrego wierszowania. Muri je Pani sobie stopniowo przyswoić i w tym celu czytać dużo poezyj i zawsze zwracać baczną uwagę na formę każdego przeczytanego wiersza. Poza tym radzę pisać Pani pogodniej — w utworach poetyckich może być smutek, może być i melancholja, bo to podnosi nastrój, danego wiersza, ale nie może być pesymizmu. Proszę, niech Pani o powyższym w przyszłości pamięta!

PRZYCHODZĄ CZASEM DNI...

Przychodzą czasem na człowieka dni,
Że gdzieś wśród deszczu włóczył by się dzień
cały —
Tak darmo wówczas o swym szczęściu śni
I z mroków gdzieś zmarłe wskrzesza ideały...

O szyby głośno wciąż uderza deszcz,
Jakaś tęsknica wyłania się znów z kątów —
Samotnym sercem wstrząsa dziwny dreszcz
I głucho snuje się smutnych myśli wątek.

Człowiek się czuje, jak zerwany liść,
Który wiatr zimny bezlitośnie w noc strąca —
Wie tylko jedno: trzeba iść i iść...
Chociaż po drodze nie dojrzy blasku słońca...
— — — — —
Przychodzą czasem na człowieka dni,
Że włóczył by się we mgłach i deszczu
dzień cały
I wtedy smutno mu i dziwnie źle,
Jakby coś złego, coś okrutnego przyjść
miało.

„Biała Uajali".



„Smutna Zocha" oderwała się na chwilę od zajmującej lektury, aby spojrzeć w naszą stronę.

NIE MÓW...

Maryli Ostrowskiej z Mława w dowód serdecznej przyjaźni — poświęcam.

Nie mów, że życie twoje smutne,
Że jest w nim tylko ból, są łzy,
Że los bezwzględny i okrutny
Rozwiał marzenia Twe i sny.

Nie mów, że życie to udręka
Wśród szarych i codziennych trosk,
Że duszę Twą pożera męka
I szczęścia Twego promień zgasł.

Och, nie mów, nie, że w życiu twoim
Nie było jasnych szczęścia dni,
Bo życie przecież otworem stoi
I wrażeń cudną tęczą lśni.

Więc nie mów, że smutne twe życie,
Że pozbawione wszelkich kras,
Bo w któryś dzień ujrzysz w zachwycie
Przedziwnie piękną życia twarz.

„Blanka".

PROSZĘ O POPRAWKĘ WIERSZYKA

„Stella Maris". Cieszę się niewymownie, że wtedy, gdy było Pani smutno i źle, przypomniała sobie Pani o mnie i napisała ten szczery i długi list. Przypuszczam, że obecnie czuje się Pani już dobrze, a po złym samopoczuciu, nie pozostało już śladu?

Wierszyk miły, ale rytm i rym, za mało gładkie. Poproszę Panią wobec tego o poprawienie utworku i powtórne nadesłanie go na moje ręce.

Żegnam Panią serdecznymi pozdrowieniami i niżej zamieszczam „post scriptum" z listu Pani:

„Bajko", ślę Ci serdeczne podziękowanie za życzenia imieninowe. „Synowi" — moc pozdrowień! Czy nie zechciałby Pan nawiązać ze mną korespondencję? „Orliczowi" odpowiadam na Jego zapytanie, krótkim — tak i tym samym daję mu pierwszeństwo. Pozdrawiam także „Takie małe Coś z loczkami". Podobasz mi się, Siostrzyczko!"

„SZCZĘŚCIE JEST CZĘSTO W NAS SAMYCH"

„Antygona". List Pani ujął mnie bardzo. W ten sposób już dawno nie przemawiał nikt do mnie i dawno nie powiedział mi nikt tak prosto i pięknie, że:

...„przecież, każdy człowiek miał w swoim życiu, chociaż jeden dzień radosnego szczęścia, chociaż jeden moment, ale miał. Czy wobec tego nie warto wierzyć i z poddaniem czekać, aż moment ten wróci do nas w zdwojonej sile?

Szczęście jest często w nas samych, ale my nieraz o tym nie wiemy.

Szukajmy je za tym w dobroci, w naszych dobrych uczynkach, a znajdziemy je.

Każdy człowiek jest kowalem swego losu! — to prawda. Czasem jednakże trudno ukuć sobie jasną dolę, ale silni ludzie i w niepowodzeniach nie załamują się, ludzie — Prometeusze!

Kiedyś i ja przeszłam swoją odyssej męki, ale nie upadłam na duchu, przeciwnie nabrałam dziwnego hartu. Poza tym nauczyłam się być czułą na ludzki ból i cierpienia, nauczyłam się być człowiekiem.

Bardzo serdeczne pozdrowienia przesyłam: „Markowi" — p. Fonsiowi P. i p. Renie K. Uścisk dłoni dla „Lawrence".

Raj kobiet

Pod znakiem karnawału

Karnawał — magnetyczne słowo, przyciągające umysły pań i panów różnego wieku.

Karnawał — wzmożony ruch w sklepach, błyskotliwość dekoracji okien wystawowych.

Karnawał — radosne wzruszenie młodych, spełnienie wielu cichych życzeń.

Karnawał — muzyka, taniec, wino.

Oto zbliża się do nas.

Poprzedza go moc przemiłych kłopotów, radosnych przygotowań.

Panie, długie godziny spędzają nad stosem żurnali, zaabsorbowane przeglądają barwne stronice, pełne najnowszych modeli. Ach, taka różnorodność pomysłów, takie bogactwo pięknych toalet, kostiumów balowych, upiększeń, dopełnień, że nie wiadomo, na co się zdecydować. A przecież chciałoby się wybrać coś oryginalnego, miłego, co barwą i formą podniesie nasz osobisty urok i wzbudzi zainteresowanie tego jedynego..., któremu tak bardzo chcemy się podobać, olśnić sobą w tym karnawale.

I zaczynają się długie wędrówki po magazynach, szczegółowe przeglądanie okien wystawowych. Lśnią w nich sznury pajetek, drżą tęczowymi barwami symilki, mienią się w bladym elektrycznym świetle zwoje koronek, jedwabie wspaniale udrapowane, aksamity miękkie. U-



78914 78915 78278 78258

78 914 i 78 915. Kostium na bal maskowy, z roku 1912, składający się z czarnej gładkiej spódnicy, zakończonej u dołu szeroką, kloszową falbanką oraz z bolera, z szerokimi rękawami z białego tiulu w czarne kropki. Uzupełnienie stanowi biała parasolka z kokardką i duży kapelusz z piórem. Potrzeba 3 m. czarnego jedwabiu, i 4,30 m. tiulu, szer. 96 cm.

78 278. Młody pan będzie dobrze wyglądał w tym hiszpańskim kostiumie. Otwarta koszula wykonana jest z czerwonego jedwabiu, spodnie z czarnego. Chusta w kropki uzupełnia całość. Ilość mater. na koszulę 3,15 m. szer. 70 cm. na spodnie 4.85 m. szer. 60 cm.

78 258. Pomysł tego kostiumu dała Greta Garbo w jednym ze swoich filmów. Składa się on z fałdzistej spódnicy i suto marszczonego kasaka, przepasanego szerokim pasem z olbrzymią klamrą. Na głowie turbanik. Potrzeba na spódnicę 4,40 m. jedwabiu, na kasak 3,80 m. szer. 90 cm.



K 26 591. Śliczna sukienka balowa z lekkiego materiału, oryginalnie wykończona na plecach. Ilość materiału 4,70 m. szer. 92 cm.

K. 23 569. Suknia na wieczorek z materiału cloque, dla pani po 40-stce. Potrzeba około 4,80 m. mater. szer. 95 cm.

śmiechają się zgrabne maseczki, pióropusze. Tyle cudów...

I tyle sprawunków... Po dokładnym przeglądaniu drobnostek, po długim namyśle przybywają białe paczuszki, owinięte kolorową tasiemką. Spieszymy ucieszone na długie narady z krawcową, żmudne przymiarki, aż wreszcie — gotowe. Idziemy się bawić!

Karnawał. Długim korowodem płyną pary, wirują w wdzięcznych obrotach w świetle reflektorów i lamp. Nic to, że sala duszna, że dym tytoniowy zgęszcza powietrze, że miejsca mało, a par tańczących wiele. Nic to... Za to w głowach szumi wino, twarze płoną uśmiechami, i snują się długie rozmowy, barwne jak toalety pań, lekkie a odurzające, jak szampan, wdzięczne jak muzyka.

Karnawał — radosny okres, zaczynający każdy nowy rok.

I wśród młodzieży poruszenie. Szkolna aula zmienia się w bajkową salę, po woskowanych posadzkach suną młodzi w granatowych mundurkach z białymi kołnierzykami, a z bocznych stolików gonią ich rozrzewnione spojrzenia matek i ojców. Ich pociechy, ich dorastające latorośle bawią się.

Pamiętajmy jednak, aby w tym okresie karnawałowym umieć utrzymać równowagę między naszymi upodobaniami a budżetem, którego nie wolno przekroczyć. Jeżeli nie dysponujemy większą sumą, nie sprawiajmy nowych sukienek, nasze, stare wieczorowe czy balowe toalety odświeżmy odpowiednio, a zabiorą nowego wyrazu i wdzięku. Tyle możliwości daje nam dzisiejsza moda. Sukienki krótsze podłużyć można aksamitem, velourem czy jednokolorowym jedwabiem, wykonując również z tego materiału suto marszczone rękawy, pasek lub szarfę i kwiat. Można również połączyć jedwab z koronką, dając koronkową górę i rękawy. A wreszcie kasaki, które niepodzielnie panują w nowoczesnej modzie. Starą, czarną sukienkę przerabiamy na spódniczkę, dokupujemy bluzę w formie kasaka, który może być krótszy lub do kolan. Zestawienie kolorów jest też różne. Kombinuje się czarny z zielonym, niebieskim, złotym — granatowy z czerwonym, srebrnym brokatem, popielaty z zielonym i rdzawym, a wreszcie uniwersalny biały, który można zastosować do każdego koloru — zawsze podniesie on urok każdej pani, brunetki, blondynki czy szatynki. Dodam jeszcze, że najmodniejszym kolorem, jaki lansuje obecnie moda jest fioletowy.

Więc bawmy się i szalejmy w tym nadchodzącym karnawale radośnie i wesoło — lecz bez poważnego uszczerbku w naszym budżecie.

Zet.

Ze świata

Nawet i konie narkotyzują się

Francuskie laboratoria fizjologiczne pracują obecnie gorliwie nad badaniem działania różnych narkotyków na ludzi i zwierzęta oraz środków, mogących służyć do zwalczania smutnego nałogu zatruwania organizmu osołamiającymi preparatami.

Między innymi badany jest też pewien gatunek amerykańskiej cykuty, rosnącej dziko na wielkich równinach Teksasu, a będącej ulubionym narkotykiem koni, pasących się na prerjach teksaskich.

Gatunek tej cykuty, zwany tam z hiszpańska „Loco" (szaleniec), a więc o nazwie odpowiadającej zupełnie nazwie szaleju, nadanej europejskiemu gatunkowi cykuty jadowitej (Cicuta viros), spróbowany raz przez konia, pociąga go po tym siłą nieprzepartą, działa bowiem niezmiernie podniecająco na zwierzę, choćby najbardziej zmęczone i wyczerpane.

Po nadzwyczajnym jednak tym podnieceniu następuje reakcja. Koń czuje się bardziej wycieńczony, niż poprzednio i łaknąc ponownie przyjemnego uczucia siły i podniecenia, poszukuje skwapliwie podniecającej trucizny, a choć ten gatunek cykuty spotyka się nieczęsto i rośnie w miejscach niedostępnych, łaknący trucizny koń potrafi ją znaleźć z zadziwiającym instynktem, pomimo że przynajmniej dla powonienia ludzkiego, roślina ta jest bezwonna.

Ciekawym jest obserwowanie koni, znajdujących się pod wpływem tego narkotyku.

W kilka minut po spożyciu „Loco", wycieńczony koń wyprostowuje się, wydaje się młodszy, a oczy jego połyskują. Zaczyna biegać i brykać rozweselony. Zmęczenia nie znać na nim wcale. Po pewnym jednak czasie objawy te znikają. Blask oczu gaśnie, źrenice zwężają się, przed chwilą wyprostowane uszy opadają, skóra obwisa. Koń wygląda teraz bardziej zmęczony, niż przed zjedzeniem trującej rośliny.

Nazwę hiszpańską otrzymał ten szalej z tego względu, że pierwsi spostrzegli jego działanie na zdziczałych koni pasących się na preriach Teksasu, pionierowie hiszpańscy w tej krainie.

Świat i życie

O wszystkiem... i o czemś jeszcze

Niedługo już będzie fraszką, dla nas pokonywanie olbrzymiej przestrzeni pomiędzy Europą a Ameryką, będziemy pruli powietrze w różnych kierunkach nad wodami oceanów, jak to już czynimy obecnie z łatwością nad suchą ziemią. Skracamy sobie, jak możemy przestrzeń, aby się nie czuć bezsilnymi wobec wielkich odległości. Chcemy się przenosić szybko, jak duch, choćby na koniec świata, byle wykorzystać wszelkie możliwości, w ciągu stosunkowo niedługiego naszego życia. Wszak wyśmiewany tak nawet przez nas żółw, jeśli chodzi o szybkość przesuwania się, żyje około 300 lat. Słoń żyje około 160 lat. Papuga i orzeł około 100 lat. Jakże się czujemy upośledzeni pod tym względem od naszych „braci" zwierząt, jak je nazywał św. Franciszek z Asyżu, wielki poeta i miłośnik przyrody.

Niektóre zaś drzewa, jak np. dąb, zachowują jeszcze dłużej swoją żywotność. Cóż więc dziwnego, że medycyna nowoczesna wszystkie wysiłki skierowała ku temu, aby możliwie przedłużyć tak cenne życie człowieka, aby zachować do jak najpóźniejszego wieku jego siły. Stąd też dokonywane są liczne próby przeszczepiania gruczołów z niektórych zwierząt, stąd propagowanie pewnego trybu życia i pożywienia, zwłaszcza jarskiego. Stąd pilne badania nad witaminami, dostarczającymi człowiekowi zdrowia i sił, chętne spożywanie niektórych owoców, jak pomarańcze pełne złotych promieni słonecznych i życia, jak wreszcie wiele innych, odpowiednio pokiasyfikowanych.

Chcemy żółwiowi dorównać w długości wieku, choć nie stajemy z nim w zawody przy pokonywaniu przestrzeni. Pragniemy szybko przenosić się z miejsca na miejsce, aby wszystko ujrzeć, wszystkiego namacalnie doświadczyć. Wiemy aż nadto dobrze, jak kształcą, jak uprzyjemniają, nasze życie podróże, ile nam dostarczają różnorodnych, nieraz bardzo pozytecznych wrażeń.

Wśród podróży ludzie poznają się wzajemnie, zapożyczają jedni od drugich ich doświadczenia, ich postępu w dziedzinie wiedzy i kultury, w dziedzinie techniki i przemysłu, rozszerzają swoje horyzonty pojęć, wzbogacają własną inteligencję. Pisma i książki nigdy nie dadzą tej pełni wrażeń, co podróże. Podróże więc są jakby uzupełnieniem, jakby ilustracją tej wiedzy, którą nam dają książki. Człowiek który nie dba o podróże, staje się zaśniedziały i ograniczony. Nie mając możności obserwacji ludzi i krajów, nie potrafi dostrzec w sobie wielu niedoskonałości, a tym samym raczej cofa się w swei kulturze, niż postępuje naprzód.

Niedość jednak odbywać wędrówki po różnych krajach, należy również wędrować po różnych okresach historii. Rzymianie już głosili zasadę: „Historia est magistra vitae" — historia jest nauczycielką życia. Jakże wielu uniknęlibyśmy błędów, gdybyśmy pilnie studiowali dzieje życia politycznego i kulturalnego narodów. Za mało żyjemy na świecie, aby nam mogły wystarczyć nasze własne jedynie doświadczenia.

Wielka jednak szkoda, że wielu bardzo rzeczy nie przekazała nam nawet historia. Odnajdujemy teraz ślady zamierzchłej cywilizacji w miejscach, w których ani nam się śniło. Jak również nie przypuszczalibyśmy nigdy, że ludy obecnie dzikie, dziedziczą pewne cechy po swych przodkach o wysokiej niegdyś kulturze i nieświadomie przechowują w swej duszy resztki głębokiej ich wiedzy. Dotyczy to zwłaszcza czerwonoskórych Indian, mieszkańców puszcz amerykańskich. Nie zdają już nawet sobie sprawy, czem byli ich ojcowie, zapomnieli już dawno o pozostawionej im spuściźnie, zgnuśnieli, zdziczeli, nie dbając o kulturalne wartości. Zapomnieli o potrzebie nieustannego odnawiania swego ducha.

To też dopiero nowa cywilizacja, europejska, dochodzi do ciekawych wyników, wygrzebując z ziemi zapomniane pozostałości tej niezwykle wysokiej kultury, jaka tam istniała. Zwłaszcza półwysep Yucatan, znajdujący się na południowym wschodzie Meksyku, jest najbogatszą strefą archeologiczną Ameryki. Zamieszkał tam szczep, zwany Maja. Otóż potomkowie dzisiejsi tego szczepu posiadają wiele cech, których nikt nie zdołał wyjaśnić w sposób naturalny. Teraz dopiero, gdy badania archeologiczne wykazały istnienie ich kulturalnych przodków, łatwiej już można zrozumieć niezwykłą przenikliwość tych dzikusów, subtelność zmysłów, niezmiernie szybkie orjentowanie się, łatwość jakby odgadywania myśli innych.

Resztki potężnych i pięknych budowli, odkopywane w ziemi, lub znajdowane w niedostępnych dotychczas puszczach przy pomocy samolotów, nasuwają pewne przypuszczenia, że prażródło obu cywilizacyj europejskiej i amerykańskiej było właściwie jedno i to samo, stąd też coraz bardziej staje się rzeczą prawdopodobną istnienie w zamierzchłych czasach jednego lądu, który później dopiero stopniowo się zapadał i wreszcie został przedzielony coraz bardziej rozszerzającym się oceanem. Ląd ten zwany był, jak głoszą stare legendy, Atlantydą.

Oto teraz, mimo iż ocean się nie zmniejsza, lądy zaczynają znowu się łączyć, lecz przy pomocy żeglugi powietrznej. Cywilizacja znowu staje się jedna na obu od siebie oddzielonych częściach świata. Odkopana, obudzi się może szybko, przynajmniej w granicach szczupłych historia cywilizacji Majów, zamarłej niegdyś dawniej, jak zaczęła zamierać znacznie już później inna cywilizacja, chińska, choć nie doszła jeszcze do stanu zupełnej dzikości.

Jakże często jedne potęgi giną bezpowrotnie, inne odradzają się znowu. Gdzież jest Babilon? Gdzie Egipt? Gdzie Grecja i Rzym? Na gruzach starej rodzi się nowa cywilizacja, lecz jedna z drugiej bierze swe źródło, jak szczepionka ciągnie soki z pierwotnego pnia, a później sama coraz bardziej się rozwija, rozrasta i wzmacnia się, aż wreszcie sama staje się drzewem, a pień jako coś odrębnego nie istnieje już wcale.

W miejsce dawnych, zjawiają się nowe wartości, nowe środki, nowe sposoby. Jedna myśl rodzi inną, mnoży się w nieskończoność. A każda myśl cenna wpada do skarbnicy narodu, do skarbnicy ludzkości.

Myśl nie ma granic ani w czasie, ani w przestrzeni, stąd też może być udziałem każdego, kto pragnie ją wykorzystać i zastosować do życia tysiączne sposoby.

Oto przyczyna mnożących się wynalazków i odkryć. B.

„Oni chcieć zjeść biała człowiek"

(FELIETON RADIOWY)

Kiedy Jimmy Kollis postanowił swą podróż na Wyspy Fidżi, nie wiedział nic o tym, że kannibalizm bynajmniej tam nie wygasł, a nawet wzmógł się w ostatnich czasach.

Wiedział tylko jedno — że Maud, jego słodka Maud, rzuciła go bez skrupułów, tak, jak to potrafią robić Amerykanki i wyszła za jakiegoś, nie posiadającego ani grosza cudzoziemca, który pieczętował się koroną hrabiowską.

Klucz do zagadki był prosty. Ona posiadała kapitał — on tytuł. Sprawa ta stała się tak głośna, że przejść musiała przez nieuniknione w takich wypadkach kondolencje, drwiące uśmiechy, które Jimmy podejrzliwie wyławiał na twarzach kolegów, przyjaciół, uroczych „lady" a nawet na obliczach 300 funkcjonariuszów swej fabryki motorów aeroplanowych.

Zrozumiał więc, że jego pobyt na 5 Avenue, jest w tej chwili niemożliwy, że musi się schronić między ludzi, którzy go nie znają.

— O Maud, jakże mogłaś to uczynić, jak mogłaś okryć mnie takim wstydem?! — myślał ustawicznie, stając przed jej niewinnie uśmiechniętą twarzyczką, wychylającą się z ram portretu.

Ale Jimmy był mężczyzną. Zapiął marynarkę na wszystkie guziki, wydał krótkie rozporządzenia w fabryce, zabrał książeczkę czekową i wyruszył przed siebie, a kiedy poczuł chybotliwe kołysanie się statku na wodach oceanu, odetchnął z ulgą.

— Dalej... dalej... jak najdalej!!!

Za chwilę był tak pogrążony w „Times'ie", że zapomniał o wszystkiem. Przed oczyma rysowały się ogromne litery: „Ludożerstwo na wyspach Fidżi".

— Ekspedycje naukowe, dowiodły — czytał — że ludożercy na wyspie Fidżi są takimi smakoszami, że przyrządzają mięso ludzkie według specjalnej recepty z dodatkiem pewnych określonych jarzyn, czynią to nietylko ze względów religijnych, ale po prostu ze smakoszostwa...

— All right — mruknął Jimmy przez zęby, w których trzymał fajkę — na befsztyk się nie nadaję, mięso łykowate, za twarde mięśnie...

Jimmy postanowił mimo wszystko dotrzeć wgłąb wyspy, zbyt było to nęcące, aby mógł sobie tego odmówić. Zapomniał o „Times'ie" w obliczu cudów Fidżi.

W samotności tajemniczych lasów siedząc przed namiotem, słuchał któregoś dnia zciszonych tonów odbiornika radiowego, bez którego nie ruszał się nigdzie, uważając go poprostu za sprzęt niezbędny, gdyż był zapalonym melomanem. Wtem z oddali do uszu jego dobiegł śpiew. Wysokie tony niosły się w powietrzu i przybliżały. Spojrzał na tubylców Milczeli, ale oczy mieli rozbiegane, niespokojne.

— Co to jest?

— To być wielkie święto bogini, oni iść i śpiewać, oni szukać ofiary dla bogini — ona lubić białych — zaśmiał się jeden z nich złośliwie.

Jimmy zrobiło się nijako. O ucieczce nie było mowy. Należało stanąć oko w oko z niebezpieczeństwem.

Po jakimś czasie wyłonił się z ciemni lasu pochód cudacznie ubranych dzikusów.

Włócznie, pałki, łuki, piszczałki, bębny, połyskujące oczy — wszystko migało jak w gorączce przed oczami podróżnika.

Zobaczywszy białego, stanęli w zdumieniu.

Wszystko to, co dalej się działo, następowało w błyskawicznym tempie po sobie,

Z wrzaskiem zacieśnili koło, krążąc w dzikim pląsie i wykrzykując gardłowo. Reszta gromady śpiewała monotonnie swoje — oaaa — oaaa...

— Czego oni chcą, — krzyknął do swego tragarza.

— Oni tańczyć i śpiewać, oni cieszyć, że wielka bogini mieć biała człowieka... Oni zjeść ręka, noga — — mlasnął z lubością.

Przez głowę Jimmy przelatywały jak piorun różne sposoby ratunku...

Z poza jego pleców dochodziły ściszone dźwięki muzyki z głośnika radiowego.

Słyszał je tylko sam.

Olśniewająca białością myśl. — Ratunek.

— Słuchaj — krzyknął głośno i wyzywająco — słuchaj, powiedz tym swoim błaznom, że ja jestem bogiem, który przyniósł muzykę z nieba — mnie posłała do was dzisiaj bogini, żeby się z wami weselić!

Tubylec zbaraniał i niepewnym głosem począł tłumaczyć wodzowi sprawę.

Przez ten czas Jimmy wyciągnął odbiornik z namiotu. Potężne tony, „Marsza Weselnego” Mendelssohna zagłuszyły wrzask i wprowadziły tłum w oniemienie.

Padli na twarz i piszcząc i jęcząc cicho, poczęli dotykać jego szat i całować stopy.

Był uratowany!

Pod jemiołą...

(OPOWIEŚĆ WIGILIJNA)

Daleko, jak okiem sięgnąć, rozciągały się milczące, białe przestrzenie pól. Nad drogą stały zadumane, całe w śnieżnych gronostajach, olchy, jakby zasłuchane w srebrzyste dźwięki janczarów, które rozległy się gdzieś w oddali.

Dzyń... dzyń... dzyń...

Jak wicher przemknęły pośród zadumanych olch duże sanie i zniknęły bez śladu. Tylko echo muzyki janczarów przytuliło się cichutko do oblepionych śniegiem gałązek i trwało tak chwilę długą.

— — — — — —

W najjaśniejszym i najprzytulniejszym pokoju turowskiego dworu p. Stanisław rozłożył świeże gazety i pogrążył się w czytaniu. Zegar, stojący na biurku, wybił godzinę dziesiątą. Głucho rozległy się w ciszy mieszkania wybijane godziny i dźwiękiem swym niemile dotknęły czytającego. Coś, jakby szary cień, przemknął przez jego czoło. Odrzucił gazetę i ogarnął spojrzeniem jasno oświetlony pokój...

Oto tam stoi choinka ubrana mozolnie przez Michalinkę. I po co ta mała, śmieszna Michalinka, ubiera corocznie te zielone, sztywne gałązki w pstrokate papiery, powycinane i poklejone w czasie długich wieczorów czerwonymi, szorstkimi łapiętami, ciekawe po co u szczytu zawiesza tego pyzatego, rumianego, jak świąteczne jabłka, anioła? Ta Michalinka ma zawsze jakieś dziwne pomysły choćby z tą jemiołą...

— Może ta i paniczowi przyda się kiej gałązeczka, ona — rzuca wrzaskliwie i pod malowanym w zielone rybki kloszem od lampy, zawiesza potężny pęk pachnącej przedziwnie jemioły.

— Może paniczowi spadnie kiedyś jaka dobra gwiazdka i zaświeci najmilej w jego samotni... tu ano pod tą leśną gałązuchną — uśmiecha się znacząco dziewczyna i zaraz wychodzi, bo panicz nie lubi pustych dysput, ani przydługich rozmów.

Stanisław z uśmiechem pobłażania patrzy z nad gazety na dzieło Michalinki i nadsłuchuje. Gdzieś tam, od strony dalekich pól, zabrzęczały dzwonki sań.

Dzyń... dzyń... dzyń...

Parsknęły wesoło konie pod oknem. Stanisław porwał się z fotelu i wybiegł na ganek.

— Panie Stanisławie, prosimy na małą chwilę o gościnę! — rozległ się młody, srebrny głos z głębi sań. Gospodarz stanął oniemiały ze szczęścia, które napłynęło nagle gorącą, wartką falą do jego serca.

— Maryla! ...! pani tutaj?...

— A tak! Zaraz ruszamy dalej, panie Stanisławie, chciałam tylko po drodze powitać naszego sąsiada o miedzę i uścisnąć mu dłoń po długim niewidzeniu. Walenty, proszę przykryć kobyłki kocami, niedługo tu zabawimy...

Stanisław rozdygotanymi rękoma zdejmował futro z ramion przybyłej i słuchał chciwie, co mówiła.

A mówiła dużo i z wdziękiem. I o tym, że po paru latach przybywa znowu do rodziny z dalekich, poleskich stron, że ogromnie stęskniła się za poznańskimi równinami, za rodzicami, sąsiadami. A że to ostatnie polega na prawdzie, świadczy choćby to, że nie mogła jakoś ominąć Turowa, że tak ją, coś do niego ciągnęło, że kazała Walentemu zboczyć z drogi. Ot i jest!

Stanisław dopiero teraz spostrzegł, że była w żałobie.

Nie pytał jednak o nic. Wystarczyło mu, że widzi ją znowu wesołą i piękną niezwykle. W ten wigilijny wieczór spełniło się to, o czym marzył przez tyle lat. Wróciła Maryla, dziewczyna taka cudna i jedyna bodaj w świecie. Zaprzedał się jej już dawno duszą całą i po to tylko, aby mu ją zabrał ktoś inny.

Przypłynęło znowu wspomnienie tego strasznego momentu, gdy przed paru laty ktoś rzucił obojętnie:

— Wiesz, Maryla Biecka wychodzi za Daszkiewicza.

Ten poleski dziedzic miał karmazynowy, opasły kark, świecącą porządnie czuprynę, ale przy tym i piękny kawał ziemi, usianej bogato chutorami. Bieccy pragnęli zawsze solidnego zięcia, nie ominęli więc nadarzającej się okazji i zeswatali „najukochańszą Marylę” z wpływowym, bajecznie bogatym Daszkiewiczem. Wprawdzie o Marylę oświadczył się Turowski, ale cóż znaczy zaściankowy Turów, wobec szumnych chutorów „poleskiego dziedzica”.

Wyjechała więc Maryla, słodkie, uległe woli rodziców dziewczę i oto wraca po latach dojrzałą, pewną siebie kobietą.

— Czy pan nadal samotny? Czy w tym domu nie ma jeszcze młodej gospodyni? — mówi cicho jasny głos.

— I nie doczeka się jej zapewnie — odszeptuje głucho drugi.

Dwie ciemne głowy chylą się smutnie w jasnym świetle lampy. Pachnąca gałązka jemioły rzuca ciemne refleksy na śniadą twarz kobiety.

— Mąż mój umarł... pozostał wśród bagien. Strasznie tam, tutaj jakoś milej na równinach, pośród borów...

Gałązki jemioły, zawieszone pracowitymi rękami Michalinki, zapachniały silnie.

W wieczór wigilijny, jak głosi tradycja, podobno wolno sobie składać pod nimi pocałunki szczęścia i pokoju — Stanisław myśli o tym i uśmiecha się ciepło...

— Nie wracaj tam — zostań... mówi cicho i patrzy w złotawe źrenice swojej dawnej dziewczyny.

— Teraz czas już na mnie, ale... skoro pragniesz, to wrócę tu jeszcze...

Jemiołowe gałązki zadrżały leciuchno i przypadły do białego klosza lampy...

Za chwilę zabrzęczały srebrnie za oknami janczary i zamarły zwolna w ciszy wigilijnej nocy — nocy, która przynosi nieraz smutnym ludziom pokój i szczęście.

Maria Zemmierówna.

Sylwester Juli

(NOWELKA).

Zgrzyt klucza w zamku i Jula znalazła się w swoim małym pokoiku na dalekim przedmieściu. Nic się tu nie zmieniło od czasu jej wyjazdu przed tygodniem. Te same białe, w zielono-czarny deseń malowane ściany, te same „barwne” meble: zielona kanapa, na wiśniowo malowane biurko i jasno polerowana umywalnia. Ten sam dywanik z postrzępionymi brzegami, stos książek na półce osłoniętej satyną i ten sam jak na ironię zawieszony artystyczny pejzaż w złotych ramach.

Julia oddycha z ulgą — jest znów u siebie. Powoli zsuwa rękawiczki, uśmiechając się do tych ścian i gracików — wiernych towarzyszy jej szarego życia. Jest jej dobrze i radośnie. Spogląda w kąt pokoju. Ach, nowość, miły przybytek małego mieszkanka. Z wazonu na nocnym stoliku uśmiecha się zielona gałązka świerku, obsypana wąziutkimi paseczkami staniolu. Wspaniała ta Wojciechowa! Julia nucąc walca, tanecznym krokiem zbliża się do stolika. Że też odrazu tego nie zauważyła. Zielone delikatne igiełki tak świątecznie nastrajają, a srebro na nie rzucone tyle ma radosnego blasku.

„Dobrze jest żyć” — myśli Julia i porywa wazon zadowolonym ruchem. Szelest wypadającej kartki. Co za pomysły! Maleńka, biała koperta z krzywymi, olbrzymiemi literami. „Od Stefa, więc jednak napisał”. Jula rozdziera błyskawicznie kopertę. Napisał. Tyle długich dni czekała, tyle nerwowych chwil spędziła w oczekiwaniu na jakiś znak, na jakieś choćby jedno słowo od niego. Wzrok Juli szybko przebiega koślawe literki. Usta zacięte. Brwi zbiegły się w ostry trójkąt nad czołem.

Upływa długa, jakże długa chwila, po tym palce nerwowo zgniatają papier i rzucają zmiętą kulkę na podłogę. Odskoczyła w kąt — przy piecu.

Julia zbliża się wolno do okna. Jest ono wąskie, wysokie, sięgające tuż pod sufit. Małe szybki zamazane mgłą. Oczy Juli patrzą przytomnie, patrzą z przeraźliwą, przytomnością. Za oknem kładzie się ciężka wilgocią mgła na tor kolejowy błyszczący stalą, na szumiący, zwarty rząd drutów telefonicznych, na drzewa nagie, rozpaczliwie smutne, na pole szerokie, przecięte jasnym pasem wąskiego strumyka. Ta zygzakowata linia strumyka na tle szarych pól, zdaje się być podobna do błyskawicy, rozświetlającej czerń nieba w upalne letnie noce — myśli Jula.

W tem ciszę przerywa dźwięk dzwonów. Ostatnie nabożeństwo Starego Roku. Oczy Juli są zimne i złe. Masz niekiedy oczy anioła, a niekiedy szatana — mówił kiedyś Stef. Tak teraz ma oczy szatana. Skrzy się w nich zielony, drwiący ognik. Dzwony uderzają uroczyście, z powagą, a echo ich drży w drutach telefonicznych, śwista w gałęziach drzew, przepełnia całą przestrzeń między tą ziemią twardą, zooraną, a ciężkim płatem ponurego nieba. Zbliża się wolno a stale, aż runąwszy na głowę Juli zaczyna w jej nerwach odzywać się ze stokroć spotęgowaną mocą.

Ostatnie dzwony w Starym Roku, ostatnie porachunki miłosne Stefa w Starym Roku, ostatni cios w serce Juli w Starym Roku.

Są chwile zdające się być wiekiem, są minuty przepełnione ciężkością ołowiu, są sekundy pełne substancyi trujących, są momenty palące jak piekło. Lecz ani jad, ani ciężkość, ani ogień tych chwil nie zciera człowieka w proch, by przestał istnieć i czuć.

Julia odwraca wolno głowę i przekręca kontakt. Fala światła zalewa pokój. Wszystko jest po dawnemu — zieleni się tylko i złoci świerk na stoliku, i bieli kulka zmięta pod piecem.

Jula otwiera drzwiczki pieca. Po tym wolno, obojętnie, a mocno łamie zieloną gałązkę i wrzuca w czarną czeluść. Za nią zmięty arkusik. Bierze zapałki ze stolika, zapala, podsuwa pod papier. Zapałka gaśnie. Zapala drugą. Zielone igiełki skrzecząc i wydając miłą woń płoną różowym płomieniem, przetykanym fioletem palącego się staniolu. Jula czeka. Gdy szary popiół legł cicho — zamyka piec i wstaje. Na zegarze bije dziewiąta.

Oczy Juli są teraz zielone, jak jej sukienka. „Powinnam płakać — myśli — powinnam krzyczeć, och: powinnam zrobić cokolwiek, zanim oszaleję”. Siedzi spokojnie przy stole i tępo patrzy w biały obrus. Pokój zapełnia namacalna prawie cisza. Nie, Jula zrywa się z krzesła, niecierpliwie podchodzi do szafy, wyjmuje czarną, wieczorową sukienkę i pantofelki. Nie podda się rozpaczy teraz, wesoło pożegna Stary Rok — ona — Jula.

Po godzinie, w czarnej toalecie, w czarnej maseczce staje Jula w drzwiach oświetlonej sali. Włosy jej mienią się złotem w blasku elektrycznych świateł, a suknia jej stanowi czarną plamę na tle udekorowanej barwnie sali.

Oto świat żegna Stary Rok, w ten wieczór sylwestrowy. Żegna go krzykliwą barwnością lampionów, iskrzącymi się pajetkami na małych maseczkach, spadającymi w wdzięcznym ruchu serpentynami, dziwactwem przeróżnych toalet, huczącym, zadowolonym śmiechem, brzękiem kieliszków i szklanek, hałaśliwą orkiestrą, miękkim ruchem walcowych pas. Grają „Poranek”. „Mój walc” — myśli Jula i lekko wsuwa się w tłum.

Porywa ją Arlekin z srebrnymi dzwoneczkami u czapki i rękawów. Tańczą wśród rozmarzonych par. „Jesteś cudna, Czarno Bajko”. Jula uśmiecha się drwiąco, zgrabnie płynie w ramionach arlekina. A „Poranek” skarży się cicho, drży tęsknotą szaloną i cudnym upojeniem. Na głowę Juli sypie się kolorowe confetti, jak dźwięki muzyki, oplatają ją barwne serpentyny, jak szał tego ostatniego wieczora w Starym Roku. Jula bawi się.

Wmieszana w rozkrzyczany tłum, tańczy w ramionach czarnych smokingów smukła, giętka. Chylą się ku niej głowy jasne i ciemne, oczy błyszczące i poważne, szepty pełne zachwytu. Czerwony Lucyferek o blond czuprynie prowadzi Julę do bufetu. „Pijmy za zdrowie Starego Roku. Pijmy za zdrowie tych cudnych chwil”. Jula wychyla kieliszki. „Pijmy za zdrowie tych cudnych chwil”. Tak samo mówił kiedyś Stef. Wtedy nie było sylwestrowego hałasu. Cichy domek za miastem, pachnące akacje, kochana głowa pochylona nisko do ręki Juli. Zciszone dźwięki walca z za zielonej gęstwy drzew.

Jula pochyla głowę na ramię. Usta jej zbiegają się w równą poziomą czerwoną linię, oczy z za czarnej maski są bolesne i takie nieszczęśliwe.

„Pijmy za Twoje zdrowie, Czarna Bajko”. Arlekin uśmiechnięty podaje jej napełniony kieliszek. Hej, śmiać się, krzyczeć, szaleć — ten jeden ostatni raz. Dwa rzędy białych zębów ukazują się w uśmiechu. Miły ten arlekin. Chwyta ją za rękę i biegną jak rozbrykane dzieci na salę. Dama w srebrnej peruce coś szepce na ucho Luciferowi, mały murzynek z trudem obejmuje otyłą, seledynową pannę. Piękna ogrodniczka nie może uwolnić się od towarzystwa fraków i średniowiecznych zbroi, niebieska baletniczka zanosi się śmiechem obok rudego apasza.

„Kim jesteś, Czarna Bajko”? — Arlekin wdzięcznie pochyla głowę.

„Jestem Bajką, która kończy Stary Rok”.

„By jeszcze wspanialej błysnąć w Nowym”. Głos Arlekina jest miły, matowy, o subtelnych odcieniach. Jula ze śmiechem potrząsa głową. Bajką, co kończy się z Starym Rokiem. Jula próbuje wyrwać się z objęć Arlekina. Zbliża się dwunasta. Trzeba zostawić, to roztańczone, roześmiane towarzystwo, trzeba zakończyć swój staroroczny szał, tu w tej błyszczącej światłem i barwami sali, a wrócić tam, do maleńkiego pokoiku na przedmieściu, do swoich codziennych zajęć, do tego życia jednostajnego, w które biały arkusz zapisany drogim pismem wniósł gorzkość nową i ciężar większy. Trzeba wrócić...

Lecz Arlekin trzyma ją silnie. Jula czuje dławiącą ją rozpacz. Arlekin jest miły w tym kostiumie z maseczką, Arlekin jest miły jak barwny, nowy przedmiot dający chwilowe zapomnienie, jak ktoś z tłumu, co przechodząc rzuca jasny uśmiech. Lecz Arlekinowi nie wolno pokazać Juli swej twarzy „na codzień”, a Juli nie wolno przeciągnąć chwili.

Pierwsze uderzenie północy. Ręce podniesione w górę trzymają kieliszki pełne mocnego trunku, usta uśmiechają się trochę niepewnie, trochę ciekawie. Punkt kulminacyjny wieczoru.

„Jesteś moją Czarną Bajką, co zaczęła się w Starym Roku, by w Nowym czarowniejszy wątek ukazać”!

Ach, ten Arlekin! Zupełnie oszalał. Jula chciałaby płakać z bezsilności. Nic nie poradzi, no nic nie poradzi...

Wrzask setek głosów — odsłonięte twarze. „Stef”. Julia, nie jest zdolna wymówić tego słowa. „Jula”! Arlekin krzyczy, przegłuszając zda się krzyk tłumu. „Ty”! — „Ty”!

Oczy bezbrzeżnie szczęśliwe toną w sobie, ręce zaciskają się pojednaniem i zrozumieniem.

Na wysokim rydwanie, tonąc w srebrze i złocie, w towarzystwie rozkosznego amorka ze strzałą wjeżdża na salę Nowy Rok.

Zofia Zawadzka.

wać swoją, w której tylko on będzie obrońcą i wychowawcą swej dziecinnej żony.

Przed duszą jego przesuwały się urocze obrazy przyszłości.

Hortensja miała już jako jego żona pojechać z nim do Wiednia, a jej czystość miała mu być talizmanem od wszystkich pokus wielkiego miasta. Dla niej, dla jej pszyszłości chciał pilnie i wytrwale pracować i ukończyć studia.

Zapas pieniędzy, jaki mu jeszcze z majątku po rodzicach został, mógł na ich potrzeby wystarczyć, dókąd on nie znajdzie stałego zajęcia.

I tak pełen dobrych nadziei, patrzył bez troski w przyszłość.

Do tej pory nic Hortensji jeszcze nie mówił o swoich planach na przyszłość. Młode dziewczę miało wskutek swego wychowania tak dziecinne pojęcia, że dla niej dążenia i starania ludzi były jakby nieznaną zamkniętą księgą.

Miłość swoją dla Leona wyjawiała z taką niewinnością, tak się z zaufaniem do niego tuliła i oddawała mu całusy, że przywiązywał się do niej coraz bardziej. Prosiła go też, aby mogła na zawsze przy nim zostać, ale wcale nie myślała o tym, aby być jego żoną, bo uważała się raczej za jego siostrę.

Łotr jaki byłby nadużył tej miłości i tego dziecinnego zaufania, ale Leon przysiągł sobie, że będzie stróżem jej niewinności i że będzie zawsze wobec niej postępować jak człowiek honoru.

— Nie płacz moje kochanie — szeptał jej do ucha — Adelajda i Marcin wycierpieli swoje. Życie już nie miało uroku dla nich, im jest lepiej tam, na drugim świecie!

— O, Leonie — mówiła łkając Hortensja — ty nie wiesz jacy oni byli dla mnie dobrzy. Sami mówili mi, że z litości tylko przytulili mnie do siebie jako biedną sierotę.

Jakże mi przykro pomyśleć, żeby oni za tyle dobroci dla mnie jeszcze mieli jakąś karę ponosić. Serce mi się rozdziera na tę myśl.

Leon patrzył na nią chwilę ze zdziwieniem. Ta jej niewinność wzruszyła go prawie do łez. Miał też dowód, że nie słyszała nic o swojem pochodzeniu. Jeżeli nawet ktoś nietaktowny byłby jej o tym powiedział, to byłaby tego w swej niewinności nie rozumiała.

— Czy nie bierzesz tego za złe swoim opiekunom, że mówili o tobie żeś idiotka? — pytał Leon.

— Pewnie skłaniały ich ku temu jakieś ważne powody i tylko dla mego dobra tak mówili — odrzekła Hortensja z zaufaniem.

Leon ucałował bujne włosy swojej narzeczonej.

— Nie oddawał się tak rozpaczy — pocieszał ją łagodnie — Wszechmogący Bóg jest Bogiem miłosierdzia. On im to przebaczy, bo mieli dobre chęci.

— Masz słuszność — odrzekła Hortensja uspokojona. — Zaufam dobremu Bogu i codziennie modlić się będę o spokój duszy moich biednych opiekunów.

Wśród tej rozmowy ujrzeli zbliżającą się do nich okazałą postać księdza, powstali więc z miejsca, aby pozdrowić swego duszpasterza.



Bajki pod choinką...

— Przybyłem — mówił kapłan poważnie i surowo — aby pomówić z panem na serio, panie Waldau. Widziałem pana w ostatnich czasach bardzo często z tą młodą dziewczyną i pytam pana, jakie zamiary ma pan, światowiec, wobec tej niewinnej dziewczyny.

Leon poczerwieniał, tak przykre dlań było posądzenie księdza. Ale sam miał czyste sumienie, odrzekł więc spokojnie:

— Przewielebny księże, Hortensja jest moją narzeczoną i proszę, aby ksiądz był tak łaskaw pobłogosławić nasz związek, skoro tylko dostanę potrzebne papiery.

Kapłan zmierzył Leona zdziwionym i niedowierzającym zwrokiem, ale dopatrzył się w jego wzroku tyle prawdomówności i szczerości, że zaczynał mu wierzyć.

— Cieszy mię, że słyszę takie rozwiązanie zagadki — odpowiedział kapłan łagodnie. — Jednak zamiarom pańskim przeszkodzi to, że narzeczona pańska nie przyjęła jeszcze świętej komunii. Zanim nie przystąpi do komunii nie może brać ślubu. Byłbym niesumiennym duszpasterzem, gdybym dał ślub kobiecie, która nie zna świętych prawd wiary chrześcijańskiej.

Hortensja przysłuchiwała się trwożnie tej rozmowie, której wątku nie mogła z początku uchwycić.

— O, przewielebny księże — krzyknęła błagalnie — proszę nie myśleć, że Adelajda wychowała mnie zupełnie bez religii. Nauczyła ona mnie kochać Boga i wierzyć w Niego. Z niesłychanym trudem wpajała we mnie zasady chrześcijańskie. O, proszę nie oczerniać pamięci zmarłej, a drogiej mi osoby!

Po słowach tych wybuchła spazmatycznym płaczem.

Kapłan zaś wzruszony tem co widział i słyszał, położył rękę na jasnej jej główce i odezwał się łagodnie.

— Szczere i ciepłe twe słowa, które ci podyktowała miłość dla twej wychowawczyni, czynią zaszczyt twemu sercu, moja córko!

— Przyznaję się, że wina Adelajdy Fellhuber złagodzona i zmniejszona jest w moich oczach, bo jeśli pozory nie mylą, wychowała cię ona na prawdziwą chrześcijankę, nie tylko w słowach, ale i w czynach!

— Na mocy tego oświadczam, córko moja, że gotów jestem konfirmować cię, gdy się tylko przekonam, żeś należycie do ceremonii tej przygotowana. Przyjdź do mnie jutro po obiedzie, to cię przepytam!

Poczem położył znów, błogosławiąc, rękę na głowę Hortensji, pożegnał Leona i oddalił się.

Po odejściu kapłana, uszczęśliwiony Leon objął Hortensję serdecznie i szepnął:

— Kochanie, wkrótce będziesz moją, całkiem moją!

Ona nie zrozumiała go dobrze, lecz ciepły dźwięk jego głosu odbił się sympatycznie w jej sercu i pod wrażeniem tegoż przytuliła się czule do mężczyzny, którego uważała za swe bożyszcze, za jedyny skarb swój na ziemi.

ROZDZIAŁ XLIV.

Po krótkiej a gwałtownej walce postanowił sobie Mayer popełnić raczej najgorszą zbrodnię niż cierpieć, jeśliby się jego żona poświęcić miała służbie bogini Venus vulgivaga. Spostrzegł on ku największemu swemu niezadowoleniu z jaką poufałością Zuzia przyłączyła się do



W Berlinie wyświetla się obecnie film pod tyt. „Pieśń dorożkarzy" z Paulem Hörbigerem i Gusti Huber. Tę ostatnią przedstawia nasze zdjęcie.

Janki. Marszcząc czoło, przypatrywał się jaką pracę ona sobie zadawała, aby naśladować chód, zachowanie się i sposób mówienia lekkomyślnej Wiedenki, jaką była pojętną i chętną uczenicą, gdy chodziło o przyjęcie manier i wyglądu tej ostatniej. Wiedział on też, że Zuzia i we wszystkim innym wejdzie w jej ślady i temu chciał przeszkodzić za wszelką cenę. Niecierpliwił się, że Zuzia tak przeciąga nocną wędrówkę.

— Chodź do domu — rzekł ponuro — teraz już wszędzie zamknięte, jutro rano będę znowu próbował szczęścia.

— Niedaleko zajedziemy z tymi kilkoma guldenami, które dostaniesz za zegarek — odpowiedziała Zuzia — a co potem poczniemy jak i te pieniądze się skończą?

— To już moja rzecz — mruknął Mayer — wystarczy dla mnie, to wystarczy i dla ciebie.

— Tak ci się zdaje — odpowiedziała niezadowolona. — Ty jak masz szklankę piwska i tytoniu do fajki, to ci się zdaje, że młoda i piękna kobieta może latać jak kopciuszek. Mnie się ani nie śni nosić takiej kitki, jak baby szpitalne.

— A przecież dawniej nawet byłaś zadowolona z swoich skromnych szat — mówił rudy.

— Ej, przed tym... wtedy nie wiedziałam, że to może być inaczej. Teraz to już nie mam ochoty pozostawać w tyle za ludźmi, którzy wcale nie są tacy czyści jak ja. Ja chcę się podobać.

— Porządna kobieta tylko własnemu mężowi powinna się podobać — odpowiedział Józef.

Ona wzruszyła ramionami. Widocznie nie zależało jej bardzo mało na tym, czy się jemu podoba czy nie.

Nastało niemiłe milczenie, które trwało aż do chwili, kiedy wrócili do swego mieszkania.

— Czy już nie masz nic pieniędzy? — spytała, gdy byli w domu.

Panna Janka zapłaciła dziś za mnie fiakra i za złe wzięłaby mi, gdybym jej nie oddała.

— Dajno spokój — ofuknął ją mąż. — Mam na głowie ważniejsze rzeczy, niż twoja przyjaciółka panna Janka.

Onieśmielona Zuzia umilkła.

Ale coraz bardziej odczuwała w swym sercu niechęć do tego człowieka, który dla niej od kilku dni był taki ostry.

Nazajutrz spała jeszcze, kiedy Mayer poszedł do banku zastawniczego. Po wielu bezskutecznych usiłowaniach, znalazł wreszcie handlarza, który za zegarek z łańcuszkiem dał 50 reńskich i zgodził się ewentualnie za trzy dni zwrócić te przedmioty za tę samą cenę, za małym wynagrodzeniem.

— Pieniądze na podróż do Königswalden mam — pomyślał sobie.

Nie wiedział jednak, co zrobić z żoną.

Zostawić ją w Wiedniu nie chciał, gdyż jej nie bardzo ufał.

Brać ją do Königswalden także nie chciał, żeby tam nie powiedziała niepotrzebnych rzeczy.

Wreszcie po długim namyśle, postanowił zabrać ją ze sobą.

Dowiedział się, kiedy najbliższy pociąg odchodzi i wrócił do domu.

— Śpiesz się — zawołał do żony, która jeszcze leżała w łóżku. — Jedziemy.

— Dokąd? spytała ciekawie.

— Do domu.

— Jezus, Maria! wrzasnęła Zuzanna — znowu chcesz zostać stangretem! — Ja nie pojadę. Ja zostanę tutaj!

Sto koni mnie stąd nie wyciągnie!

— Milcz! — krzyknął Mayer, zaciskając ze złości pięście.

— Ani mi się śni — odparła najpiskliwszym dyszkantem Zuzanna. — Ja nie chcę wracać do dawnej nędzy.

— Ale pojedziemy tylko na jeden dzień — uspakajał ją Mayer. — Sama chciałaś zobaczyć się ze znajomymi w tych pięknych sukniach. Teraz ja sam umyślnie po to tylko chcę z tobą tam pojechać. — Właśnie chciałbym się pochwalić w naszych stronach, że mam taką ładną żonę. Ja dla ciebie taki, a ty mnie za to stajesz okoniem i rzucasz się jak wariatka. Tym babom rozsądny człowiek, żeby się na głowie postawił, nie może nigdy dogodzić.

Ona słuchała uważnie.

— Naprawdę? — spytała. — Rzeczywiście nie zostaniemy tam dłużej, jak tylko jeden dzień? Dajesz mi słowo na to?

— Tak — odparł Mayer.

— I tylko dla mnie to robisz, że jedziesz? — badała Zuzia.

On potwierdził jej pytanie.

Potem nalegał znowu, żeby się spieszyła na miłość boską i prędzej się ubierała, żeby nie spóźnili się do pociągu.

Dla Zuzanny myśl o tym, że swoim dawnym przyjaciółkom z kuchni i oficyn w Königswalden pokaże się w swoich wspaniałych szatach, które we Wiedniu kupiła za pieniądze męża, jak niemniej myśl o tym, że tym przyjaciółkom oczy powychodzą z zazdrości, była bardzo nęcącą.

Wbrew zwyczajowi, ubierała się z nadzwyczajną szybkością.

Para małżeńska usiadła do śniadania i spożyła je z pośpiechem.

Potem w zupełnej zgodzie siedli do doróżki i pojechali na dworzec.

W kwadrans potem pociąg ruszył i wiózł ich do rodzinnego miejsca.

Tam rudy Mayer był biednym stangretem, a żona jego prała bieliznę służby zamkowej.

Teraz wracali jako wielcy państwo.

(Ciąg dalszy w nast. numerze).

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 27 grudnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 10.30 Kolędy kaszubskie i kujawskie 12.03 Koncert rozrywkowy 14.15 „Jak Stach Zawalidroga uczył się roli Heroda" — monolog dla dzieci 14.30 Koncert rozrywkowy (płyty) 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Fragment słuchowiskowy z dramatu „Sita" Kasprowicza 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 „Debiutanci i laureaci" — szkic literacki 19.20 „Płyta za płytą" muzyka taneczna 21.00 „Tradycje rycerskie w wielkopolskiej pieśni i melodii" — audycja muzyczna 21.45 „Na wesołej lwowskiej fali" 22.15 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 28 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert orkiestry reprezentacyjnej KPW. 12.50 „W rodzinie i w gromadzie" — pogadanka 15.15 Gita Alpar i orkiestra Edith Lorand (płyty) 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.15 „Gwara w literaturze polskiej" — odczyt 16.30 Koncert Zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej 17.00 „W laboratorium prof. Weigla" — reportaż 17.15 Koncert solistów 17.50 „Historia zegara — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Mozaika muzyczna" 20.25 Pieśni w wykonaniu Elżbiety Schumann (płyty) 21.00 „Idąc za kolędą" — wieczór literacki 21.30 Koncert małej orkiestry P. R. 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Wtorek, dnia 29 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert rozrywkowy 15.15 Koncert muzyki lekkiej 16.30 Mała orkiestra P. R. i „Czwórka radiowa" 17.10 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.25 5 audycja z cyklu „Sonety skrzypcowe Beethovena" 17.50 „Zdrowia, szczęścia, pomyślności" — monolog 19.00 „Dyskutujmy" 19.20 „Z muzyki angielskiej" — koncert 20.15 Opera 22.25 „Współczesny humanizm w literaturze" — szkic literacki 22.40 Muzyka tan.

Środa, dnia 30 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 „Świąteczne nastroje" — koncert 15.15 Utwory i transkrypcje jazzowo-symfoniczne (płyty) 16.25 Koncert łódzkiej orkiestry salonowej 17.00 „Nasze odznaczenia bojowe" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 „Brytyjska idylla świąteczna" — felieton 19.20 Koncert w wykonania orkiestry T. Seredyńskiego 20.00 Koncert rozrywkowy (płyty) 21.00 Koncert chopinowski gra Kurt Engel 21.30 Koncert kameralny (z Wilna) 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 31 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Bajki w muzyce (płyty) 15.15 Koncert w wyk. zespołu Pawła Rynasa 16.20 „Nad albumem znaczków pocztowych" — audycja dla dzieci 16.35 Polska muzyka baletowa (płyty) 17.15 Muzyka dwufortepianowa 19.00 „Wieszczka karnawału" — operetka 20.30 „Teatr w walizce" pogadanka 21.00 Koncert sylwestrowy 22.00 „Wesoła sylwestrowa Syrena": „Nie ma złego coby na dobre nie wyszło" — audycja M. Hermana 23.30 „Sylwester na Kasprowym Wierchu" 0.15 „Do słuchaczów za granicą" 0.20 „Płyta za płytą" — muzyka taneczna.

Piątek, dnia 1 stycznia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 12.03 Koncert rozrywkowy i „Monolog nowoczesny" 14.30 Audycja dla dzieci 15.00 „Świętych Pańskich kalendarz" — gawęda 15.15 Polska kapela ludowa F. Dzierżanowskiego 16.30 „Poczta świąteczna" premiera słuchowiska" 17.00 Muzyka taneczna 17.30 Koncert orkiestry mandolinistów 18.10 Fragmenty zespołowe znanych oper (płyty) 19.00 Dwie serenady w wyk. orkiestry smyczkowej PTM. 19.35 Koncert solistów 21.05 „Wspomnienia z dawnych lat" — audycja muzyczna 22.05 „Skórka banana" humoreska 22.35 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 2 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Kwartet salonowy rozgłośni krakowskiej 14.30 „Baśń o Kopciuszku" — dla dzieci 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 Koncert orkiestry wileńskiej 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 19.00 Audycja dla Polaków za granicą „Na Nowy Rok" 19.30 Koncert wieczorny w wyk. orkiestry symfonicznej 21.00 Muzyka taneczna w wyk. małej orkiestry P. R. 22.00 „Wielka wygrana" — wesołe słuchowisko 22.30 Muzyka taneczna.

Niebezpieczny Gość

Powieść

Zdzisław spojrzał na niego badawczo.

— Skąd wiesz?...

Zamiast odpowiedzi dziennikarz najniespodziewaniej zaczął gwizdać jakąś szalenie wesołą arię. Udawał, że nie widzi zdziwienia, malującego się na twarzy nieprzyjaciela.

— Co to było, co teraz gwizdałem?

— Czy ja wiem — Zdzisław wzruszył ramionami. — Ale co gwizdanie może mieć wspólnego z panną Niewiarowiczówną?

— Właśnie, że może mieć. Bo taką arię wygwizdywał sobie osobnik, który wczoraj późnym wieczorem kręcił się obok mieszkania panny Niewiarowiczówny.

— Cooo?... Nie rozumiem...

— A jednak to jest zrozumiałe. Bo jeśli Zofia Niewiarowiczówna była namówiona przez autora anonimów, to ten, już przed tym, musiał się z nią porozumieć, czyli, że musiał być u niej, albo też gdzie z nią się spotkać. A chyba to nie był przypadek, że wczoraj późnym wieczorem wracając do szkoły, spotkałem jakiegoś mężczyznę, wychodzącego z ogrodu pp. Niewiarowiczów. Nawet możebym nie zwrócił na niego większej uwagi, ale zachowanie się tego osobnika wydawało się mi mocno podejrzane. Bo kiedy ujrzał mnie nadchodzącego, był tym najwidoczniej zaskoczony. Potem błyskawicznie nasunął sobie kapelusz na oczy i szybko oddalił się drugą stroną drogi. Widocznie bardzo zależało mu na tym, aby nie został rozpoznany. Oczywiście gdybym wtedy wiedział, że to taki ptaszek, nie ograniczyłbym się do stwierdzenia tylko tego, że podążyłbym w stronę willi „Aurory".

— W stronę willi „Aurory"? — powtórzył Zdzisław. — I sądzisz, że to był...

— Twój wróg tajemniczy — przerwał mu dziennikarz. — Ten sam, którego widziałeś w ogrodzie w ową noc, kiedy zaskoczył ciebie i pannę Janinę swym szyderczym śmiechem.

Zdzisław chwycił go za ramię i zapytał niecierpliwym i drżącym ze wzruszenia głosem:

— Widziałeś go? Kto on jest?... Kto on jest?...

— Nie wiem. Dowiem się jednak wkrótce.

— Jakim sposobem?

— Przez pannę Zofię Niewiarowiczównę — odparł krótko Kazimierz.

Zdzisław popatrzył na młodego dziennikarza wzrokiem, który wyrażał uznanie dla jego wysokiej inteligencji.

Rozdział IV

DZIENNIKARZ W ROLI WYWIADOWCY

Kazimierz znalazł pannę Niewiarowiczównę siedzącą na ławeczce, nad brzegiem jeziora. Był jej bardzo ciekaw, to też przystanął w pewnej odległości, aby móc przyjrzeć się jej bezceremonialnie.

Zofia była sama. Podparłszy rękoma głowę, zapatrzyła się w rozmigotaną srebrzyście powierzchnię jeziora. Puszyste blond - włosy w bezładzie opadły na ładną twarzyczkę, pokrytą chmurką smętnej zadumy, wymowne usteczka były dziwnie zaciśnięte...

Myślała o młodym człowieku, który zjawił się na drodze jej spokojnego, niemal szarego życia, rozjaśnił je na krótko, aby oddalić się, pozostawiając jej gorzkie wspomnienia i — rozczarowanie. Bo widziała, że po tym co zaszło, więcej już do niej nie powróci. O, bo on nie kochał jej nigdy! Zrozumiała to zbyt późno niestety...

Uśmiechnęła się gorzko.

A ona, czyż kochała tego człowieka? Z początku tak, ale po tem... łudziła się tylko. Podobał się jej i ciekawił swoją oryginalnością. Ale po tem studiuwała go bardzo starannie, a rezultatem tego było, że wyidealizowany mężczyzna stracił dużo w jej oczach i poczynał spadać do rzędu przeciętnego człowieka, a później — nawet niżej jeszcze. W miarę, jak poznawała go więcej, stawał się dla niej coraz bardziej obojętny, aż nakoniec...

— Przepraszam panią, czy mogę usiąść?

Zofia drgnęła. Błyskawicznie podniosła oczy i, zobaczyła przed sobą wysokiego, przystojnego młodzieńca, machinalnie podniosła rękę, aby poprawić rozwichrzone włosy. Uśmiechnęła się blado.

— Proszę bardzo. Ławka jest dla wszystkich.

Młody dziennikarz zajął miejsce obok dziewczyny. Milczał dość długo, z pod oka obserwując ją uważnie. Dziewczyna również spojrzała nań parę razy i jakby niepokój zamigotał w jej zadumanych oczach.

— Pani jeszcze myśli o... „nim"? — zagadnął nagle Kazimierz, akcentując ostatni wyraz. — Czy „on" naprawdę zapewniał że panią kocha?...

Zofia podskoczyła na ławce z wyrazem ogromnego zmieszania na twarzy.

— Skąd pan wie? — wyrzuciła niespokojnie, a zrozumiawszy, że się zdradza, poprawiła natychmiast: — Kto?... O kim pan mówi?...

— Skąd wiem? — uśmiechnął się dziennikarz. — Powiem pani później... Teraz niech wystarczy to, że powiem dużo, więcej nawet, niż niejedni sądzą. A o kim ja mówię, pani wie bardzo dobrze. Reakcja pani na moje słowa jest tego najlepszym dowodem. Mówię o młodym brunecie, wysokiego wzrostu i starannie wygolonej twarzy, który dwa dni temu, późnym wieczorem był u pani, aby...

Dziewczyna zerwała się z ławki.

— Panie, kto pan jest? — zapytała prawie z przerażeniem.

Kazimierz powstał również i uchylił kapelusza ruchem dżentelmena.

— Bardzo przepraszam, że nie zacząłem od przedstawienia siebie. Ale zaraz naprawię to małe „zapomnienie". Nazywam się Kazimierz Szperacki i jestem dziennikarzem. Pani zaś jest panną Zofią Niewiarowiczówną, prawda?

Spojrzała nań bystro.

— Wczoraj był pan w towarzystwie panny Krańskiej — rzekła zmieszana. — Widziałam pana...

Zauważył, że jej twarzyczka bladła, to czerwieniła na zmianę. Zbliżył się tedy i zapytał prawie serdecznie:

— Niech pani mi powie, dlaczego „on" kazał pani zaczepić Zdzisława Donieckiego?

— Pan wie o tem?...

— Wiem .I niech mi pani wierzy, ten człowiek nie wart tego, aby pani o nim myślała. On okłamywał panią i gorzej jeszcze, bo chciał panią wplątać w pewną nieprzyjemną sprawę. To bardzo niebezpieczny człowiek... Pani zbladła? Może pani usiądzie...

Posłuchała machinalnie.

— Zanim przystąpię do właściwej rozmowy, — zaczął po chwili dziennikarz, przysiadłszy się do dziewczyny — pozwoli pani, że zadam jej małe pytanie: Czy ten człowiek zapewniał panią o swej dla pani sympatii?...

Skinęła głową.

— I mówił, że się z panią ożeni?

— Tak wprost tego nigdy nie mówił ,ale kilkakrotnie dawał mi to do zrozumienia. Mówił, że musi uporządkować pewne sprawy i, że po tem już nic nie stanie na przeszkodzie temu, abyśmy razem byli szczęśliwi.

— Czy pani go kocha?... Przepraszam za niedyskrecję, ale chciałbym to wiedzieć...?

— Nie — odparła cicho.

— To dobrze — rzekł zadowolony. — To niebezpieczny intrygant. Pragnę go unieszkodliwić, a

do tego potrzeba mi pewnych danych, których pani może dostarczyć...

Panna Niewiarowiczówna zmarszczyła brwi.

— Co on takiego uczynił? — zapytała z uporem w głosie.

— Oczernił niewinnych ludzi i knuje przeciw nim podły spisek, do którego usiłował także wciągnąć panią. A to jest wielkie przestępstwo.

Ostatnie zdanie zrobiło na młodej dziewczynie niepożądane wrażenie. Mimo to wahała się jeszcze.

— Ja mam go oskarżać?...

— Nie pani, tylko odpowiadać na moje pytania. Pani rozumie, że lepiej to załatwić w ten sposób, niż zeznawać do protokółu policyjnego.

— Niech pan pyta — rzekła prawie z niechęcią.

Kazimierz spojrzał na jej bladą twarzyczkę i ciągnął łagodnym głosem:

— Wiem, że pani posiada dobre serduszko i, że nie chciałaby pani nikomu robić przykrości. Rozumiem panią dobrze. Ale z tym człowiekiem jest sprawa inna. On nadużywał pani zaufania. On pani nie żałował, a pani miałaby jego żałować? Nie wart tego... Zboczył z uczciwej drogi — a ja pragnę z powrotem naprowadzić go na prawą drogę, choćby wbrew jego woli. A ponieważ dobrze jest wiedzieć z kim ma się do czynienia, dlatego już naprzód muszę poznać nazwisko tego osobnika... Jak on się nazywa?

— Franciszek...

— Franciszek?... — powtórzył Kazimierz przytłumionym głosem. — I jak jeszcze?

— Nie wiem.

— Jakto! Pani nie wie?... Pani, co była prawie, że jego narzeczoną?

— Nie wiem — powtórzyła spokojnie. — Kiedy się poznaliśmy, to powiedział mi swoje nazwisko, ale je zapomniałam. A więcej go nie pytałam jak się nazywa. Wiedziałam, że ma imiona Franciszek, Alfred — i to mi wystarczało. Zawsze nazywałam go po imieniu...

— A skąd pochodzi?

— Też nie wiem.

Dziennikarz zmarszczył brwi.

— Pani nie wie?... Pani to musi wiedzieć!

Zofia poczerwieniała.

— Pan zarzuca mi kłamstwo? — zawołała oburzona. — Jakim prawem... kto pana upoważnił do badania mnie? Kto pan jest?...

Ten nagły wybuch zdziwił Kazimierza. Spojrzał dziewczynie w oczy i zrozumiał, że oburzenie jej było szczere. Mówiła prawdę.

— Przepraszam, wierzę pani — rzekł pojednawczo. — Ale pani sama przyzna, że twierdzenie, iż nie zna się nazwiska, ani choćby miejsca zamieszkania człowieka, z którym często się spotykało, może wydawać się niedorzeczne...

Zapadła cisza.

Dziennikarz przez chwilę uważnie przyglądał się dziewczynie. Oczy jej płonęły gorączkowym ogniem, lecz twarz była blada i niespokojna. Tylko bujne, jasne włosy nie straciły nic ze swego koloru. Były równie śliczne jak przed godziną.

Pomimo, że Zofia Niewiarowiczówna nie zdradziła się niczem, coby dało powód, aby nie wierzyć jej słowom, to jednak jej odpowiedzi wydawały się nie zupełnie szczere. Czyżby naprawdę nie znała nazwiska podejrzanego osobnika? A może nie chce powiedzieć...?

— Pani zna się z Franciszkiem Leśniczakiem? — zapytał nagle Kazimierz.

Zofia drgnęła i błyskawicznie podniosła głowę. Na chwilę spotkały się ich oczy. Badawczy i surowy wzrok młodzieńca sięgnął do jej duszy i tak dalece ją przejął, że uczuła przyspieszone bicie serca. Wnet opuściła głowę jak winowajczyni.

— Nie — wyszeptała. — Znam go jedynie z widzenia.

— Dlaczego pani kłamie? — zapytał z łagodnym wyrzutem w głosie. — Ja wiem to. Zresztą mogę się przekonać...

Dziewczyna zerwała się z ławki. W ciągu sekundy twarz jej pokryła się śmiertelną bladością.

— Co pan chce powiedzieć? — wybełkotała.

— Poprostu to: chcę znać nazwisko młodego bruneta, wysokiego wzrostu, o starannie wygolonej twarzy... Pani nie chce go wyjawić. A ja myślę, że znam dobrze tego człowieka...

Panna Niewiarowiczówna ze zdumieniem spojrzała na młodego dziennikarza.

— Któż to jest? — spytała.

Kazimierz wykonał prawą ręką dziwny gest.

— Franciszek Leśniczak, lokaj państwa Krańskich! — odparł.

Młoda dziewczyna znieruchomiała na sekundę, poczem podniosła drżące ręce.

— Nie, nie! — wybełkotała jakby przerażona. — Nie! To nieprawda! Przysięgam panu, że to nieprawda...

— Chciałbym pani wierzyć. Naprawdę tylko tego pragnę. Ale wszystko przemawia za tym, że młodym człowiekiem, który przedwczoraj późnym wieczorem był u pani, jest lokaj państwa Krańskich. Bo nie można zaprzeczyć, że Leśniczak jest brunetem, wzrostu więcej, niż średniego... Zresztą pani sama powiedziała, że osobnikowi temu na imię Franciszek...

Głos Zofii drżał, gdy mówiła:

— Powiem panu wszystko... To nie Franciszek Leśniczak był wtedy u mnie, ale ktoś inny. Ja naprawdę nie wiem, jak on się nazywa. Powiedział, że ma imię Alfred i dopiero w ostatnich tygodniach kazał siebie nazywać Franciszkiem. Mówił, że Alfred jest jego drugim imieniem, a pierwszym i właściwym jest — Franciszek... A ja sądzę, że jemu nie było Franciszek, a tylko zmyślił to imię dla jakiegoś celu.

— To się okaże... Czy jest podobny do Leśniczaka?

— Trochę... tak. Ale musi być starszy od Franka Leśniczaka.

— A dlaczego kazał pani zaczepiać pana Donieckiego?

Zofia spłonęła przelotnym rumieńcem.

— Sama nie wiem. On mnie okłamał, zawsze mnie okłamywał. Nalegał, abym koniecznie postarała się być w towarzystwie pana Donieckiego. Mówił, że chce spłatać mu figla...

Dziwny błysk zamigotał w oczach dziennikarza.

— I mówił, że zna pana Donieckiego?

— Tak.

— A skąd pani wiedziała, że pan Doniecki pójdzie na pocztę — badał dalej Kazimierz, sugestionując wzrokiem dziewczynę. — Bo pani chyba nie zaprzeczy, że o tym wiedziała?

— Wiedziałam — przyznała się. — Napisał mi bilecik...

— I pani ma jeszcze ten bilecik?...

— Zdaje się, że wrzuciłam go do swego biurka. Tam też być musi do tej pory.

— Bardzo prosiłbym panią o pokazanie tego bileciku, dlatego, że przy pomocy liściku będzie można wykryć tego, który go napisał.

Zofia się zawahała. Jej duże, niebieskie oczy objęły dziennikarza niespokojnym spojrzeniem i dłużej spoczęły na jego twarzy. Snać musiały wyczytać szczerość w młodzieńca obliczu, bo zniknął z nich niepokój.

— Dobrze — rzekła. — Przyniosę go panu.

W kilku skokach dopadła płotu i zniknęła za małą furtą, prawie że całkowicie ukrytą w zieleni ogrodu.

Młodzieniec począł przechadzać się po nadbrzeżnej alei. Zofia długo nie powracała. Już poczynał przypuszczać, że dziewczyna więcej już się nie zjawi, gdy dały się słyszeć szybkie kroki.

— Pan wybaczy, ale muszę zaraz powrócić do domu — mówiła, podchodząc doń Zofia. — Mama mnie w tej chwili potrzebuje. A oto żądany bilecik.

Kazimierz podniósł go do oczu i odczytał szeptem:

— „Dziś, po południu, będzie na poczcie. Uważaj i skorzystaj z okazji. Wkrótce zobaczymy się znowu — Franciszek."

Wpatrzył się uważnie w pismo i długo zatrzymał wzrok przy podpisie „Franciszek". Wnet zadowolenie odmalowało się na jego twarzy.

— Pani pozwoli mi zabrać ten bilecik?

— Może pan zabrać — odparła i zaraz dodała: gorączkowo: — Niech pan nic nie mówi Fran..! Leśniczakowi. Proszę o to pana bardzo. To nie od niego ten bilecik. Niech mi pan wierzy...

Podziękowawszy jej gorąco, Kazimierz pożegnał pospiesznie dziewczynę i skierował swe kroki w stronę willi „Aurora".

Kiedy był pewny, że panna Niewiarowiczówna już nie może go widzieć, wyjął bilecik i raz jeszcze odczytał go uważnie.

— Pismo jakby trochę odmienne — mruknął nakoniec. — Ale niewątpliwie pisała ta sama ręka, co oszczercze anonimy.

Młody dziennikarz skupił myśli. Odpowiedzi Zofii wydawały się proste i szczere, a jednak coś w nich było niezupełnie zrozumiałego. Zastanowił go dziwny niepokój, malujący się w oczach młodej dziewczyny, kiedy oznajmił jej cel swego przybycia, a równocześnie dziwiło go to, że tak łatwo zdołał wydobyć z niej ważne szczegóły. Ale wytłumaczył to sobie w ten sposób: Zofia wzięła go zapewne za agenta policyjnego i dlatego była tak niespokojną i bez oporu odpowiadała na zadawane pytania. Zresztą uwierzyła mu, że — „jest o wszystkim dobrze powiadomiony..."

Dowiedział się dużo, ale nie tyle, co obiecywał sobie przed spotkaniem. Nie dowiedział się najważniejszego szczegółu: nazwiska autora anonimów. Panna Niewiarowiczówna odpowiedziała mu na wszystkie pytania, ale czy mógł wierzyć jej zapewnieniom, że nie zna nazwiska młodego człowieka, z którym często się spotykała, a który pisywał do niej bileciki?... A co znaczyła jej nagła reakcja, kiedy wymienił nazwisko lokaja państwa Krańskich? Dlaczego Zofia prosiła gorąco, może nawet za bardzo gorąco, aby nic nie mówić Leśniczakowi? Przecież powiedziała, że się z nim nie zna... Czyż już to nie jest podejrzane?...

Kazimierz tak był zatopiony w myślach, że nie spostrzegł wcale, że już nie kroczy tą samą drogą i nie widział, że zamiast błękitu nieba, nad jego głową zieleni się masa splątanych gałęzi. Dopiero kiedy do jego uszu dobiegły jakieś szepty, podniósł głowę. Zdziwił się. Znajdował się w parku obok willi „Aurora". Przystanął. Rzucił wzrokiem przed siebie i naraz zrobił ruch wsteczny, jakby chciał cofnąć się szybko.

Zobaczył bowiem przed sobą Zdzisława i Jankę Krańską. Jeden rzut oka wystarczył, aby zrozumieć, że młodzi zajęci są wyłącznie sobą. Zdzisław obejmował ramieniem dziewczynę i, tuląc ją do siebie, mówił półgłosem:

— Kocham cię, Jano... Musisz być moją. Bo ja cię kocham i nigdy kochać nie przestanę...

Panna Krańska uśmiechnęła się czarownie i za chwilę usta jej znalazły się przy ustach narzeczonego.

— Nie będę wam przeszkadzał — pobłażliwie uśmiechnął się dziennikarz. Szybko zeszedł z alei i wnet zakryły go wysokie krzewy. Przedzierając się przez gęstą zieleń, śmiał się w duchu na samą myśl jakiego to figla mógłby spłatać zakochanym; gdyby nagle stanął przed nimi w momencie, gdy całowali się, jak dwa gołąbki... Och, chciałby widzieć ich zmieszane miny!

Uszedł kilkanaście kroków, gdy niespodzianie natknął się na lokaja.

A ten, co tu robi? — pomyślał podejrzliwie.

Spojrzał na niego badawczo i Franciszek spuścił oczy, nie mogąc wytrzymać jego przenikliwego wzroku.

— Dobrze, że pana spotykam — odezwał się Kazimierz, nie spuszczając wzroku z twarzy lokaja. — Mam dla pana pozdrowienie od... panny Zofii Niewiarowiczówny. Pan zna się z nią, prawda?

Franciszek zaczerwienił się po same uszy.

— Z panną Zofią znam się dobrze — odparł zmieszany. — A dzisiaj wieczorem mamy właśnie się spotkać...

Kazimierz dowiedział się dosyć. Zaraz też pożegnał lokaja. Był wzburzony. Teraz już wiedział, że Zofia Niewiarowiczówna zna się z lokajem i utrzymuje z nim stosunki towarzyskie. Ale dlaczego go okłamała?... Czemu Franciszek był zaskoczony spotkaniem? Czyżby jego wizyta w parku miała jakiś zakazany cel?...

Zwiesiwszy głowę pod ciężarem myśli, dziennikarz oddalił się wolnym krokiem.

Rozdział V.

KAPRYSY PANIENKI

— Iruś, co tobie? Czyś czasem nie chora?... Wyglądasz mizernie. Oczy masz dziwnie smutne... jesteś blada...

Janka z niepokojem wpatrywała się w przybladłą twarzyczkę kuzynki. Co dopiero powróciła z rozkosznego rendez-vous w parku — wesoła więc i uszczęśliwiona wsunęła się do pokoju, gdy na widok zagłębionej w fotelu, pogrążonej w zadumie kuzynki, zdziwienie zastąpiło uśmiech aż dotąd malujący się na jej rozpromienionej twarzyczce. A kiedy na odgłos jej kroków Irena podniosła głowę, Janka przystanęła nagle zaniepokojona. Irena — ta zawsze wesoła i swobodna Ira — jakże w tej chwili była zmieniona! Zawsze ożywiona twarzyczka była teraz pokryta chmurą smętnej zadumy, brwi zmarszczone, oczy były dziwnie zamglone, a wymowne usteczka silnie zaciśnięte. Z całej postaci młodej dziewczyny biło jakby przygnębienie i smutek.

— Co tobie, Iruś? — pytała troskliwie Janka, ściskając, nieco zmieszaną i zaskoczoną jej nagłem pojawieniem się, kuzynkę. — Czemu jesteś taka zamyślona? Czy masz jakie zmartwienie? Uważałam, że od niejakiegoś czasu nie jesteś taką, jak zawsze... Dlaczego Iruś?... Czyżby to był wpływ pewnego młodego człowieka...?

Irena zaczerwieniła się na moment, a w jej czarnych oczach błysnął płomień gniewu. Opanowała się jednak natychmiast, a nawet uśmiechnęła się, ale z odcieniem lekkiej ironii.

— Widzę, że starasz się być bardzo spostrzegawczą, Janeczko. Co do mnie, mylisz się jednak troszeczkę.

— O, nie. Ja znam cię dobrze. Tobie coś jest... Tylko powiedz, Iruś, jakaż przyczyna twego smutku?

— Nic mi nie jest — odparła z przymusem Irena, siląc się na ton swobodny. — Czy sądzisz Jano, że ciągle można tryskać złotym humorem? Można ciągle być wesołą?... Niestety, każdy z ludzi, bez względu na płeć i warstwy społeczne, ma swoje dnie radości i dnie smutku. Są chwile — czasem tylko momenty — w których smutek zakradnie się do serc naszych i melancholia opanuje nasze umysły...

Janka się roześmiała.

— Ale muszą być przyczyny smutku, prawda Iruśko?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Irena, niespokojnie wpatrując się w twarz Janki.

— Nic takiego, czegoby nie rozumiała moja czarująca kuzyneczka. Bo czy dawniej byłaś kiedy tak zamyślona?... Nigdy Iro! A jeśli teraz się zmie-

niłaś, to musi być jakaś przyczyna tej zmiany. Może... — Zresztą czy ja wiem, co się dzieje w twojem serduszku? Kto w niem zapanował? Alboż ja mogę o tem wiedzieć?... I czy ja wiem dlaczego twoja twarzyczka, przed chwilą blada i zamroczona, teraz tak poczerwieniała?...

— Przestań Jano, proszę ciebie.

Słowa te Irena wypowiedziała z takim naciskiem, że Janka spojrzała na nią zdziwiona.

— Ach, widzę, że tobie naprawdę coś dolega, moja Iruśko — rzekła, uśmiechając się dwuznacznie. — A wszystko przez to, że nie ma tu kogoś... No, przyznaj się...

Przez twarz Ireny przemknęła burza uczuć. Z bladej stała się purpurową i odwrotnie. Było widocznym, że słowa Janki drażniły ją i sprawiały jej przykrość.

— Dlaczego mi dokuczasz, Jano? — rzekła drżącym głosem, rozpaczliwie ściskając poręcz fotela. — Czy zasłużyłam na takie postępowanie?... Nie przecz. Jesteś nieznośna ze swojemi uwagami. Doprawdy nie spodziewałam się tego z twej strony... Ciągle tylko usiłujesz mi dokuczać...

Janka chciała się roześmiać, ale spojrzawszy na jej wzburzoną twarzyczkę, powstrzymała się w porę. Natomiast pochwyciła Irenę za ręce i, przyciągnąwszy ją do siebie, usiłowała zajrzeć jej w oczy.

— Iruś, czyś oszalała? Ja tobie dokuczyć?... Żartuję tylko.

— Nie, nie — broniła się Irena. — Ciągle mnie prześladujesz jakimś młodym człowiekiem...

— Ależ, Iro, chyba nie zrozumiałaś intencji. Sądzę, że pan Szperacki...

— Ja... ja go nie cierpię! — wyrzuciła Irena z jakimś szczególnym uniesieniem.

Twarzyczkę jej oblała łuna rozpaczliwych rumieńców, na długich, czarnych rzęsach zalśniły przezroczyste perły łez.

— Nie cierpię go! — powtórzyła. — Nie cierpię! Nie cierpię i... i nienawidzę!

Czując, że nie zdoła powstrzymać gwałtem wypływających z oczu łez, wyrwała się kuzynce i wybiegła z pokoju.

Janka stała oniemiała, z oczyma utkwionymi w drzwi, za którymi zniknęła postać młodej dziewczyny. Nagły wybuch kuzynki przestraszył ją, a więcej jeszcze zdumiał. Nie mogła się wydziwić, że ta spokojna, wesoła i zawsze zrównoważona Irena okazała się w końcu tak samo egzaltowaną, jak inne dziewczyny, co to za jednego dnia swobodne i wesołe, a drugiego już nadąsane niewiadomo czego. Ale kiedy dłużej zastanowiła się nad tym, zrozumiała przyczynę dziwnego zachowania się kuzynki.

— Ona napewno się w nim zakochała i rozpacza, bo nie chce przyznać się do tego — szepnęła z filuternym uśmiechem.

I zadowolona z tego odkrycia, wybiegła na korytarz, wołając:

— Ira! Poczekaj tylko... Coś ci powiem. Iruś...

Ale Ireny nie było już na korytarzu, ani nawet w całej willi.

Wypadłszy z pokoju, pobiegła do ogrodu, a stamtąd do parku. Była wzruszona i bliska płaczu. Połykając łzy, szybkim krokiem, jakby chcąc uciec przed samą sobą, zapuściła się w gęstą zieleń, którą słońce muskało ukośnymi promieniami. Słowa Janki poruszyły najczulszą strunę jej duszy i wstrząsnęły nią do głębi. O, bo ona kochała młodego dziennikarza, chociaż nie chciała przyznać się do tego. Zrozumiała to dzisiaj dopiero, kiedy ujrzała go siedzącego na ławce tete-à-tete z jakąś dziewczyną. Miłość zrodziła się w niej nagle razem z zazdrością. Kochała Kazimierza, pomimo, że drażniły ją jego ironiczne uśmieszki, pomimo, że traktował ją zawsze z żartobliwego tonu, jak małą, kapryśną dziewczynkę. Kochała pomimo tego, a może dlatego właśnie. Ale czyż mogła spodziewać się jego wzajemności? Nie mogła się łudzić. Nie miała prawie żadnej nadziei. Dlatego smuciła się, bo ambicja nie pozwalała jej przyznawać się do zawodu... Śmialiby się z niej... I rozpacz ją ogarniała na myśl, że Janka odkryła stan jej duszy, że odgadła wszystko... Ale nie! Ona musi stłumić to głupie uczucie, gwałtem opanowujące jej serce. Zaciśnie zęby i będzie udawać wesołą i spokojną. Choćby z tego powodu miała znosić największe męki, to jednak pokaże Jance, że się myli. Pokaże jej, że ona — Irena — umie postawić na swojem...

Wyszła wreszcie nad jezioro. Szybki bieg podziałał na nią uspokajająco. Wzburzenie minęło już, a natomiast ogarnęło ją niewysłowione znużenie i zniechęcenie, wywołane walką wewnętrzną. Stanęła nad samym brzegiem jeziora, ze schyloną głową i opuszczonymi rękoma.

Wtem drgnęła nagle... Odczuła na sobie czyjeś uporczywe spojrzenie. Podniosła szybko oczy i zmieszała się, zobaczywszy tuż przed sobą Kazimierza Szperackiego.

Młody dziennikarz patrzył na nią badawczo, poważny, z fałdą na czole i odrobiną zdziwienia w zagięciu ust. Bacznej jego uwadze nie uszedł przelotny rumieniec, jaki na jego widok oblał blade lica dziewczyny, ani to, że zaraz po tem, jakby pod wpływem nagłego postanowienia, zacisnęła usta i spojrzała na niego dziwnie chłodno.

— Pani nie przywita się ze mną? — rzekł wreszcie, wyciągając rękę i nie spuszczając z niej oka.

Irena wolno, jakby niechętnie, podała mu swoją.

— Co pani jest? — zapytał, przytrzymując jej rączkę, a w głosie jego brzmiała nuta niepokoju. — Pani się dziwnie zmieniła. Pani jest teraz jakaś inna...

— Zdaje się panu — rzekła obojętnie, unikając jego badawczego wzroku. — Ani się zmieniłam, ani inną nie jestem.

— Jednak blada twarzyczka pani o czem innym mówi... A dlaczego pani płakała?

Odwróciła głowę, aby ukryć zmieszanie.

— Pan jest bardzo ciekawy, nawet za bardzo, jak na mężczyznę — rzekła ironicznie. — Mówią, że ciekawe są tylko kobiety. To nieprawda! Bo czy ja pytam się pana o to naprzykład, jak długo pan flirtował z jakąś dziewczyną na ławce, nad jeziorem?...

Spojrzał na nią uważniej i uśmiechnął się nieznacznie.

— Pani naprawdę jest bardzo niebezpieczną — rzekł udając przerażonego. — Skąd pani wie o tem?...

— Wystarczy, że wiem. A skąd? — To pana nie powinno obchodzić.

— Ach tak, panno Irko? — pytał zdziwiony jej oschłym tonem. — Pani jest rozdrażniona. Musiała pani mieć jakieś zmartwienie... Czy pani nie chora? Nie powiedziała mi pani, dlaczego pani płakała?

— Znalazłeś pan osobliwy sposób, aby mi dokuczyć — rzekła, wyrywając swoją rękę, aż dotąd spoczywającą w jego dłoni.

— Dokuczyć? — zaprzeczył żywo. — O, jakże pani się myli! Pytam nie dlatego, aby pani dokuczyć, ale dlatego, że widzę, iż pani nie jest taka jak zawsze... Może pani jest chora, ale na chorobę, na którą nie ma lekarstwa, a ściślej mówiąc: na którą jest tylko jedno lekarstwo — i dlatego pani przyznać się nie chce... Może serduszko chore?... Co?...

W głosie jego brzmiała jakaś wesoła, pieściwa nuta, że Irena zmieszała się bardziej jeszcze. Spojrzała na niego nieśmiało prawie. Uśmiechał się lekko, więcej oczyma, niż ustami. Zacięła zęby. Błyskawicznie wytłumaczyła sobie znaczenie jego uśmiechu: oczywiście żartuje i drwi sobie z niej... Momentalnie gorące rumieńce oburzenia oblewają bladą twarzyczkę, po której przebiegają nerwowe drgania, a z pod groźnie zmarszczonych brewek wybiega dumne, gniewne spojrzenie.

— Pan chce mnie upokorzyć!... — wyrzuciła zdławionym głosem. — Wiem, dlaczego pan to robi... Ale pan nie ma prawa... rozumie pan?...

— Panno Ireno!

— Nie! Pan nie masz prawa mi dokuczać! — powtórzyła w gwałtownym oburzeniu, a usta jej trzęsły się nerwowo.

Naraz manifestacyjnie odwróciła się od niego i szybko poczęła oddalać się w stronę willi.

Kazimierz parę sukund patrzył za nią zdumiony, przerażony prawie, potem w kilku skokach dopędził dziewczynę i zastąpił jej drogę.

— Co pani jest? — zapytał z drżeniem w głosie, przytrzymując ją za rękę.

— Proszę mnie puścić — zawołała, usiłując uwolnić swoje ręce z jego uścisków. — Co pan... co pan...

Chciała powiedzieć: co pan sobie myśli — ale łzy dusiły ją w gardle, tamując mowę. Gniew ustąpił miejsca wielkiemu żalowi. Było jej niezmiernie ciężko, ach jak ciężko, na sercu...

— Nie puszczę! — rzekł stanowczym tonem. — Nie puszczę, aż pani wytłumaczy mi przyczynę takiego postępowania...

Spojrzała mu w oczy. Wzrok jej spotkał się z jego spojrzeniem, w którym był tak straszny wyrzut, że Irena drgnęła i spuściła powieki.

— Panno Ireno — dodał Kazimierz z łagodnym wyrzutem. — Czy zasłużyłem na takie traktowanie? Nie poznaję pani dzisiaj... Pani gniewa się na mnie? Czemu? Za co?...

— Ja nie... ja nic... — jąkała się cicho. — Tylko proszę mnie puścić... Muszę wracać do willi.

Młodzieniec zobaczył łzy w jej oczach i rzekł łagodnie:

— Dobrze. Ale odprowadzę panią.

Puścił jedną jej rękę, drugą delikatnie wsunął sobie pod ramię i pieszczotliwie nakrył dłonią. Irena, drżąc lekko, dała się prowadzić bez oporu.

— Panno Irko — mówił dalej przyciszonym głosem. — Wiem, że pani mnie nie cierpi i prawie... nienawidzi. Pani jest uprzedzona do mnie, a ja takbym pragnął, żeby pani uważała mnie za życzliwego sobie! Ja naprawdę nigdy nie miałem zamiaru dokuczyć pani i... niech mi pani przebaczy, jeżeli ją mimowoli uraziłem...

Rzewny ton jego głosu i ta nagła skrucha, wzruszyły dziewczynę. Milczała jednak uporczywie.

— Czy pani naprawdę gniewa się na mnie, panno Iruśko? — zapytał dziwnie miękkim głosem.

— Nie gniewam się — szepnęła, nie podnosząc oczu.

Odczuwając na sobie jego gorące spojrzenie, mieniła się na twarzy. O, za nic w świecie nie chciałaby w tej chwili spojrzeć w jego magnetyczne czarne oczy.

Stanęli przed willą „Aurora".

Przy pożegnaniu Kazimierz ujął silniej drobną rączkę i, pochyliwszy się, przycisnął do niej gorące usta.

Irena oniemiała na sekundę; płomienie uderzyły jej na twarz, a serce poczęło bić gwałtownie. Przez mgnienie oka zawahała się. Potem wyrwała swoją rękę i szybko podążyła do willi, jakby coprędzej chcąc uciec z zasięgu jego gorącego wzroku.

A Kazimierz stał i patrzał za oddalającą się dziewczyną. Radosny uśmiech rozpromieniał jego męską twarz.

Rozdział VI

NIEPOROZUMIENIE

Janka Krańska westchnęła, książka wysunęła się z jej ręki i ześlizgnęła się na ziemię.

Była rozmarzona... Usiłowała czytać, ale myśli jej rozpraszały się bezustannie, krążąc uporczywie dookoła postaci młodego, ukochanego mężczyzny...

Siedziała na małej, prawie całkowicie w krzakach bzu ukrytej, ławeczce. Było to miejsce pamiętne z oświadczyn Zdzisława i błogich chwil z nim spędzonych. Tu, na tej ławeczce po raz pierwszy usłyszała słodkie „kocham" i tu zakosztowała rozkoszy pierwszych pocałunków.

Od tego czasu upłynął już — przeszło tydzień, a każdy miniony dzień zbliżał ich duchowo coraz więcej. Nie potrzebowali słów na wyrażenie potęgi swych uczuć. Wystarczały im długie, rozjaśnione spojrzenia, milczące, a jednak tak wymowne! Kochali się pierwszą, gorącą i namiętną miłością, właściwą tylko młodym i duchowo pokrewnym istotom. Szczególnie Zdzisław...

Dnia wczorajszego Janka wyjechała do miasta, skąd powróciła o zachodzie słońca. Ze Zdzisławem nie widziała się dzień cały i dopiero przed samym wieczorem spotkała go w ogrodzie. Pogrążony w głębokiej zadumie, przechadzał się ze założonemi w tył rękoma. Śmiejąc się, zawołała nań po imieniu. Drgnął i, ujrzawszy ją, przybiegł uradowany, rozpromieniony. Całując jej obie ręce, mówił półgłosem:

— Tylko jeden dzień byłaś nieobecną, a zdaje mi się, że wieki już nie widziałem cię, moja Janko... Gdy patrzę na ciebie, tak mi błogo na duszy, uczuwam spokój, jakiego dotąd nie znałem. Kocham cię, Janko... uwielbiam!...

Potem wziął ją pod rękę i tak przechadzali się w milczeniu, patrząc na siebie rozjaśnionymi oczyma, z wyrazem rozkosznego porozumienia wzajemnego. Zdzich tulił ją do siebie z uczuciem szczęścia w błyszczących oczach, ona zaś z ufnością oparła główkę na jego ramieniu...

Kiedy bujna zieleń zasłoniła ich od strony willi, Zdzisław nachylił się błyskawicznie i pocałował ją w usta. Palące dotknięcie jego warg niby słodka trucizna odurzyło ją i wzburzyło krew w jej żyłach. Nie panując już nad sobą, objęła za szyję ukochanego i oddała mu długi, gorący pocałunek. Wtedy objął ją silnie i przywarł ustami do jej ust z taką siłą, jakby pragnął wyssać z nich wszystką słodycz. Całował aż do utraty tchu...

Spłoszył ich dopiero odgłos szybkich kroków. Odskoczyli od siebie zmieszani, zaczerwienieni. Ktoś przechodził w pobliżu i oddalił się prędko, niedostrzeżony... Widziała, jak Zdzich, wsłuchując się w odgłosy oddalających się kroków, zmarszczył na moment brwi i uczynił ruch jakby chciał popędzić za tajemniczym przechodniem. Wnet jednak wzruszył ramionami i rozpogodził twarz. Widocznie odegnał podejrzliwą myśl, jaka w tym momencie zrodziła się w jego mózgu. Następnie ujął jej rękę, a spojrzenie, jakim objął jej zarumienioną twarzyczkę, zdawało się mówić wyraźnie: — „Kocham cię najdroższa... musisz być moją!"...

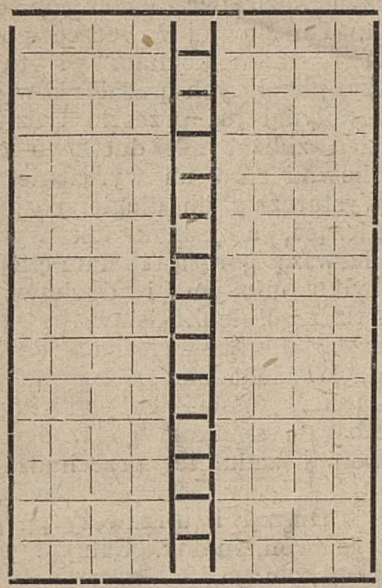
Janka znowu westchnęła na krótko i przerwała na chwilę bieg swych myśli. Zobaczywszy leżącą na tarasie książkę, pochyliła się, aby ją podnieść, a równocześnie poprzez liście bzu rzuciła wzrokiem w stronę willi. Mimowoli musiała się uśmiechnąć. Na tarasie bowiem stał Zdzisław i uważnie rozglądał się po ogrodzie. Szukał kogoś... Wpatrzyła się w niego, a jej rozmarzone oczy zdawały się mówić: „Jeśli mnie szukasz, to ja tu jestem, Zdzichu... Przyjdź!

Czy dosłyszał, odczuł, lub jakimś innym sposobem zrozumiał to nieme wezwanie? Niewiadomo. Lecz w tej samej chwili wejrzał w tym kierunku, a choć jej nie mógł dojrzeć poza zielenią, to jednak skierował się w stronę ławeczki.

Janka przechyliła głowę w tył, aż oparła się na poręczy ławki, i przymknęła oczy. Zrobiło się jej błogo na duszy. Za chwilę stanie przy niej Zdzisław, obrzuci ją długim, wymownym spojrzeniem, a potem przyciśnie swe gorące usta do jej ręki... C. d. n.

CHWILA ZASTANOWIENIA

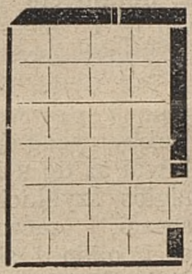
Logogryf świąteczny
ul. Z. Z.



W powyższą figurę wpisać poziomo 14 wyrazów o podanym niżej znaczeniu — rząd środkowy da rozwiązanie.

1) Ćwiczenia cyrkowe na linie. 2) Miasto polskie. 3) Następuje przy szkodliwym działaniu promieni słonecznych. 4) Rodzaj uczucia. 5) Profesor jęz. polskiego. 6) Szkoła średnia. 7) Roślina pokojowa. 8) Opłata pocztowa. 9) Opowiadanie w szkole. 10) In. nierozrzutny. 11) Dziedzina upiększeń. 12) Okres w historii literatury. 13) In. służalczość. 14) Wahanie cen w handlu.

Eliminatka literacka
pod. F. Gałecki.



Odnaleźć wyrazy o podanym niżej znaczeniu. Wykreślić litery z tych wyrazów, kóre znajdują się w kluczu — kluczem tym jest tytuł z powieści H. Sienkiewicza. Z pozostałych liter odczytać z góry do dołu nazwisko polskiego powieściopisarza.

Wyrazy pomocnicze: 1. 60 sztuk, 2. Część roku, 3. Zszycie in., 4. Okres przedwielkanocny, 5. Miejsce grania głuszców.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do soboty, 2 stycznia 1937 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 51 „Moich Powieści"
Konikówka: „Bądź wielkim, gdzie należy, lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej odzieży". Domyślanka: „Warto chociażby raz, na chwilę jedną, położyć palce na dusz ludzkich ranie i w lepsze światy zawieść rzeszę biedną — prawdy i piękna dać jej pożądanie".

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Wacław Bultrowicz — Gniezno, Dionizy Janicki — Gniezno, Ignacy Płomiński — Wielkie Młyny, Janina Chollówna — Przeworsk, Benita Jagielska — Poznań, Andrzej Warke — Kalisz, A. Kotkowiczówna — Święciany, Anicet Pawlak — Koźmin, Krystyna Kowalakówna — Kwiatków, Maria Szywińska — Poznań, Jan Olszewski — Konin, Pelagia Pokówna — Gdynia, Wiktor Dywicki — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Marii Szywińskiej z Poznania i Dionizemu Janickiemu z Gniezna.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Mika". Tak, jak dotychczas, będziemy i dalej ulepszać w miarę możności „Moje Powieści" Dziękujemy za cenne dla nas uwagi i serdecznie pozdrawiamy.

P. Józef M. Pęczniew. Prenumeratę ma Pan opłaconą do sierpnia 1937 r. włącznie. Roczny abonament wynosi — 12.00 zł — ulgi narazie nieprzewidziane. Łączymy moc pozdrowień!

P. L. K. Bydgoszcz. Za nadesłane łamigłówki — dziękujemy. Skorzystamy.

HUMOR



— Wyglądasz bardzo zmęczona, mamusiu!
— Och, mój chłopcze, jestem przepracowana, prawie, że rąk nie czuję.
— Ach, mamusiu, mogę Ci więc powiedzieć, że zbiłem tę kryształową wazę z jadalnego pokoju.

Oględna krytyka

Jeden z młodszych literatów zaprasza na swój odczyt znanego autora Wedekinda.
— Bardzo mi jest przykro — odpowiada. Wedekind — ale ja chodzę bardzo wcześnie spać.
— No, ale przecież dla mnie może pan zrobić wyjątek — prosi autor.
— Nie idzie tu o wyjątek — tłumaczy się Wedekind — ale widzi pan, ja najchętniej śpię w łóżku.

Chemia

— W jakim związku rozpuszcza się najlepiej złoto?
— W małżeńskim, panie profesorze.

Sąsiedzi

— Wyprowadzamy się od pierwszego do lepszej okolicy. Zdaje się, że i państwo mieli ten sam zamiar.
— No tak, ale teraz to już niepotrzebne.

Dobra odpowiedź

Nauczyciel właśnie wytłumaczył uczniom znaczenie globusu i chce się przekonać, czy wszyscy dobrze go zrozumieli. Pyta przeto jednego z chłopców:
— Janku, powiedz mi, gdzie znajdę się, jeżeli z tego miejsca, gdzie mieszkamy, przewiercę dziurę nawskroś, na drugą stronę globusa?
Janek, syn prokuratora:
— Na ławie oskarżonych.
— Dlaczego?
— Za uszkodzenie cudzej własności.
— Skądże znowu!
— Tak, proszę pana. Globus jest własnością szkoły i nie wolno w nim wiercić dziur.

Tak albo tak

— Tatusiu, czy mogę zejść na podwórko, aby pobawić się z Jankiem?
— Nie. Wiesz przecież, że nie cierpię tego nieznośnego chłopaka.
— Tatusiu, czy mogę zejść na podwórko, wygrzmocić Janka?

Obcuje z sędziami

— Podsądny, jesteś człowiekiem zupełnie zepsutym. Musiałeś chyba obracać się w złym towarzystwie?
— Panie sędzio, od 18-go roku życia tylko ciągle z sędziami mam do czynienia.

Dlaczego jest osłem?

— Kelner, omyliłeś się w rachunku. Jesteś osłem mój przyjacielu!
— Przepraszam pana, ale czy dlatego jestem osłem, że mnie pan nazywa przyjacielem, czy dlatego nazywa mnie pan przyjacielem, że jestem osłem?

Nie udało się

W kancelarii dyrektora szkoły dzwoni telefon. Za chwilę słychać cienki głosik:
— Czy to kancelaria szkoły?
— Tak jest.
— Proszę pana dyrektora powiedzieć panu profesorowi z 2-giej klasy, że Miecio Malicki nie może przyjść do szkoły, bo jest bardzo chory.
— Dobrze! A kto mówi?
— Mój tatuś.....

Jak to rozumieć

— Ach, co ja widzę, panie Kluska. Czy to pan rzeczywiście? Słyszałem, że pan umarł.
— Nie, to umarł mój brat.
— No, to bardzo mi przykro...

Zrozumiano

Kapral — Jednoroczny musi sobie to zapamiętać, że wy już nie cywil. W wojsku wszelka cywilizacja idzie w kąt.

Prawdziwe roztargnienie

Pan profesor wraca późno do domu i bez zaświecenia światła wchodzi do swej sypialni. Nagle zatrzymuje się i woła.
— Kto tam jest pod łóżkiem.
— Nikogo niema — odpowiada cichym, lecz donośnym szeptem jakiś głos basowy.
— Ciekawe! — mówi profesor do siebie. A takie miałem wrażenie, jakby się tam coś ruszało.

Miły przypadek

— W jaki sposób zaznajomiła się pani z drugim swym małżonkiem?
— Przez czysty przypadek. Przejechał samochodem mego pierwszego męża.



— U moich stóp klęczało już kilka mężczyzn.
— Z tego wnioskuję moja droga, że często kupujesz buty.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.